ROK IV — Nr. 27 (173)

LONDYN, 4 LIPCA

CENA PRICE 1s.

Wiadomości Polskie

POLITYCZNE I LITERACKIE • TYGODNIK • THE POLISH NEWS

Redakcja: 229/231, HIGH HOLBORN, LONDON, W.C.1 (tel.: CHAncery 6128). Administracja: 9, NEW OXFORD STREET, LONDON, W.C.1 (tel.: HOLborn 0368). Prenumerata: kwartalnie w Anglji 12s., w innych krajach $3. Prosimy o przekazywanie należności za prenumeratę czekiem lub „Postal Order" na zlecenie: M. I. KOLIN (Publishers), LTD.

Ogłoszenia przyjmują Advertising Offices, THE CARLTON BERRY CO., 437, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2 (tel.: ABBey 5108)

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI

NIEZNANA BITWA 8-EJ ARMJI

Było to w Libji, na pozycji pod Belhamedem, rankiem dn. 8 grudnia 1941 r.*). Przespałem w nocy 12 godzin. Śniadanie szef sporządził doskonałe. Konserwa — dar Mussoliniego: makaron, soczewica i pomidory — na gorąco była znakomita; Hitler wykazał się świeżym chlebem i szmalcem ze skwarkami. Ameryka właśnie przystąpiła do wojny. Słońce świeciło wysoko nad Libją,

Działon przed wyjazdem z Tobruku pod Belhamed

niebo było bez chmury, Niemcy już uciekli a dowódcy właśni w większych ilościach jeszcze nie zdążyli dojechać. Słowem, miałem wszelkie powody by być w doskonałym humorze.

Działonowy przyszedł, zameldował, że działon do wyjazdu gotów. Zadałem regulaminowe pytanie, czy wóz sprawdzony, broń przetarta, oczywiście, otrzymałem tradycyjny meldunek że wszystko w porządku, poczem byłem pewien, że i tak motor nawali, że jeśli nie zabraknie benzyny — chłodnica zacznie przeciekać, że jeśli mamka się nie zatka — gaźnik się zepsuje, no i nim przyjdzie do strzelania — połowa erkaemów zdąży się i tak zapiaszczyć.

Poczem poszedłem do dowódcy kompanji piechoty brytyjskiej, którego przy pomocy naszych działek miałem chronić od nieprzyjacielskich czołgów. Porządny był chłop, w Anglji zbierał znaczki, a w Libji przeszedł na pistolety. Ja zaś miałem bzika na punkcie patroli. Dzięki temu współpraca ostatniemi dniami układała się świetnie: od świtu do wieczora jeździłem samochodem po pustyni pod warunkiem że na lunch i na dinner będę mu przywoził jako udział w łupie — rewolwer. Tym razem zażądał kategorycznie nie włoskiej Berety (miał ich już kilka), ale 32-strzałowego Schmeissera. Wobec czego oświadczyłem, że muszę wziąć działko — z Niemcami żartów niema — oraz drugi wóz, by w razie czego było czem wyrywać. Zawarcie tej umowy nie trwało długo, zwłaszcza że wobec przywiezienia wczoraj z patrolu beczki włoskiej anyżówki — wszyscy bez wyjątku podkomendni kapitana czekali spragnieni kiedy wreszcie Polacy ruszą w pustynię. Regulamin, jak zwykle na wojnie, został odwrócony do góry nogami: piechota siedziała na pozycji a po patrolach uganiały się solidne działka przeciwpancerne.

Był jeszcze jeden kłopot: przy dowództwie bataljonu Bedfordshire Regiment urzędował zastępca dowódcy naszego dywizjonu i mógł stanąć w obronie gwałconego w biały dzień regulaminu. Doświadczeni żołnierze wiedzą: w wojsku najlepiej się nie pytać! Gdy Adolf (nie Hitler, ale mój przyjaciel B.) chciał w Tobruku spalić Włochom wieżę obserwacyjną (za co potem dostał krzyż walecznych), nigdyby jej nie spalił gdyby zaczął od pytania. Wobec tego i teraz uznaję za dyplomatyczne wyjście: gdy wozy znikną za górką, szef nada telefonogramem meldunek o wyjeździe na „rozpoznanie przedpola".

Wszystko gotowe, motory palą, odjazd. Przejeżdżamy pole minowe. Przed nami pustynia mieni się w grudniowem słońcu żółtością piasku i szarą zielenią stepowych burzanów. Wiedziały co robiły nasze rządy gdy sprzedawały zagranicę broń przed Wrześniem — dzięki temu teraz polski Bofors ze starachowickiej fabryki szczerzy groźnie swą zgrabną paszczkę na Morrisie, podskakującym po kamieniach za nami. Kompletują uzbrojenie: cztery pistolety maszynowe, Schmeissery, dar Hitlera (nowiutkie, w czołgach nie mogły się zakurzyć) i trzy erkaemy — ta broń jest już wytwórczości brytyjskiej. Stan liczebny ludzi: ośmiu, ale każdy mierzy siły na zamiary. Ten np. działon, na który przypadła dziś kolejka patrolu, ma własny wymarzony cel: wziąć do niewoli Rommla. Jeśli patrol niemieckich motocyklistów mógł przypadkiem na odludnym trakcie zafasować trzech generałów brytyjskich ze sławnym O'Connorem na czele, dlaczego my nie możemy wziąć Rommla? — dowodzi Karolek Kr., działonowy, 20-letni kapral z cenzusem, który zdążył odbyć kampanję zmotoryzowaną we Francji w 2-ej dywizji, a potem via Włochy dołączyć do brygady. A nuż Rommel zabłądził właśnie, oliwa mu w busoli zamarzła, pogubił swe oddziały?

Plan strategiczny ułożyć — dziecko potrafi, jak dowodzi Wavell, takie to proste. Toteż i teraz trasę patrolu ułożyć było nietrudno. Ponieważ wczoraj rano rozpoznawaliśmy skrzyżowanie dróg w Bu Amud (tam w opuszczonych magazynach włoskich były kadzie z alkoholem), a popołudniu przełęcz Zaafran (tam zafasowaliśmy oficerów włoskich ze sztabu dywizji Brescia), przeto coś interesującego możemy jeszcze spotkać jadąc z Bu Amud szosą do Bardji. Pod warunkiem iż nasi w Tobruku nie spostrzegli się jeszcze, że Włosi wycofali się ze wschodniego odcinka oblężenia i że pościg za nimi jeszcze nie poszedł bardyjską szosą.

Jedziemy do Bu Amud szosą, którą wybudowali Włosi i Niemcy w czasie oblężenia Tobruku. W myśl zasady „mądry głupiemu ustępuje", woleli dokoła Tobruku wybudować szosę, aniżeli silić się na jego zdobywanie, skoro Australijczycy bronili go tak uparcie. Szosa dobra, wogóle wspaniałe szosy pobudowali w tej Libji pracowici faszyści. Rozglądamy się dokoła z dziecinną ciekawością: niby te kamienie, burzany, słupy telegraficzne, rozwalone wozy, rozłupane czołgi, skrzynie z amunicją takie same jak w Tobruku, ale jednak... Ta Libja to dla nas dotychczas świat zaczarowany, przypłynęliśmy do Tobruku okrętem w noc czarną, pochowano nas zaraz w schronach i okopach, w dzień wychylić głowy nie można, bo zaraz kula z naprzeciwka gwizdnie. W nocy też nie było lepiej, pól minowych bez końca, Bóg wie kto je zakładał, i Włosi, i Anglicy, i Australijczycy, i Niemcy, i Polacy, czołgać się tylko można, a tym środkiem lokomocji daleko zajechać trudno. Toteż biedni turyści Sikorskiego musieli zaprzestać chwilowo wycieczek. Jeden tylko nie wytrzymał (ppor. R. z 3-go baonu, jest już dziś w lotnictwie w Anglji) i postanowił wyjść z Tobruku, przejść się po nieprzyjacielskiej stronie odcinka i zobaczyć jak tam ta Libja wygląda. Z patrolu w nocy kazał żołnierzom wracać do domu. Sam poszedł dalej. Przeszedł pola minowe, zasieki, rowy. Ubrany w kombinezon szoferski a na głowie mając bandaż zamiast czapki, rankiem następnego dnia znalazł się na tyłach nieprzyjaciela. Wyszedł na szosę, zatrzymał wóz niemiecki, zagadał po włosku, siadł i pojechał. Rozpoznał gdzie są stanowiska ciężkiej artylerji, magazyny, skupienia wozów, poczem [illegible] przejechał się włoskim wozem, udając Niemca. W nocy przeszedł znów linję frontu i wrócił szczęśliwie do oddziału, gdzie jednocześnie dostał: parę tygodni aresztu z zawieszeniem, Krzyż Walecznych i zaproszenie do generała australijskiego, dowódcy twierdzy, na śniadanie z butelką piwa (ta butelka piwa była, zdaje się, najmocniejszem wrażeniem dla niego w całej tej historji).

Do Bu Amud dojechaliśmy, jak zwykle na froncie, spokojnie, bez przygody. To znaczy, raz obserwator zameldował większą ilość nieprzyjacielskich czołgów szarżujących zza górki na nas, ale na szczęście dla nich wieżyczki czołgów okazały się...garbami wielbłądów. Pozatem, jak było do przewidzenia, wóz działonu nawalił, mamka okazała się brudna. Nie było jak w kawalerji — gdy Muni coś przyszło do głowy i klacz stawała, dobre słowo lub ostroga wystarczyły, a taki głupi motor na żadne ustępstwo nie pójdzie.

W Bu Amud rozejrzeliśmy się z niepokojem: czy są tu już nasi z Tobruku? Spostrzegliśmy trzy samochody pancerne ukryte w jarku. Przyjrzeliśmy się — na masztach anten proporczyki ułożone według kodu na dzień dzisiejszy. Zaklęliśmy szpetnie: nasi. Podjechaliśmy do nich. Południowi Afrykańczycy. Porucznik lornetuje szosę do Bardji. Pytam: są na szosie przed nami własne oddziały? Nie, niema. Te samochody pancerne mają właśnie za zadanie ubezpieczyć Bu Amud od strony Bardji. Hurra! Współpraca sprzymierzonych w pustyni polega na tem, że każdy czyni co mu się podoba. Wyjeżdżamy zatem z powrotem na szosę i po chwili mkniemy już asfaltówką w stronę Bardji.

Teraz cała nadzieja w oczach Ludwika (kierowcy mego wozu). Nieprzyjaciel ma bowiem okropny zwyczaj: nim się wycofa, minuje drogi. Wczoraj wieczorem na trakcie pustynnym Ludwik zahamował wóz na pięć centymetrów od długiej, ciężkiej włoskiej miny przeciwczołgowej: działon jadący z tyłu miałby budujący widok — dowódcy unoszącego się prosto do nieba! A że na wozie siedziało trzech oficerów włoskich, rozkoszujących się perspektywą niewoli po trudach wojny, przeto mieli poglądową lekcję o niewłaściwości kopania dołków pod bliźnimi.

Jazda asfaltówką była nadzwyczaj przyjemna, ponieważ nie kurzyło i nie trzęsło (a nowoczesny żołnierz w trzecim roku wojny ceni sobie wygody cielesne). Przejechaliśmy obok wielbłądów, tych samych które przedtem wydały się nam czołgami. Mądre zwierzęta wygrzewały w słońcu grudniowem chude gnaty, uważając to za znacznie rozsądniejszą czynność od uganiania się po pustyni za jakimś Rommlem. Raz jeszcze mogłem stwierdzić bliźniacze podobieństwo oblicza wielbłądów i Arabów. Wiadomo! kto z kim przestaje... A zwłaszcza od tysięcy lat sam na sam w pustyni.

Hej, tam na szybkim koniu, gdzie pędzisz,
kozacze?
Czyś zobaczył zająca, co po stepie skacze?

Tym razem nie był to jednak ani kozak ani zając, ale poprostu żołnierz włoski, który dotychczas leżał spokojnie w jakimś dołku i nagle na widok nadjeżdżających wozów zerwał się na równe nogi i zaczął gonić co sił w nogach w pustynię przed siebie. Idjota, żaden z naszych obserwatorów nie byłby go dostrzegł. A za nim wyrywa już dwóch innych Włochów. Zjeżdżamy w pustynię i urządzamy polowanie na gazelę. Nie trwa tym razem długo. Ludwik naciska pedał gazu, ktoś tam daje z pistoletu salwę w górę (nie daj Boże rannego, dopiero byłby kłopot), i już na wóz gramolą się jeńcy. Przerażeni, wzrok błędny jakby wracali z tamtego świata — powiedziano im pewnie, że okropności czekają ich w niewoli. Ale po chwili, jak przystało na Włochów, odżywają: zaczynają gestykulować, pokrzykiwać. Nie umiem po włosku, szkoda czasu ich słuchać, jedziemy dalej.

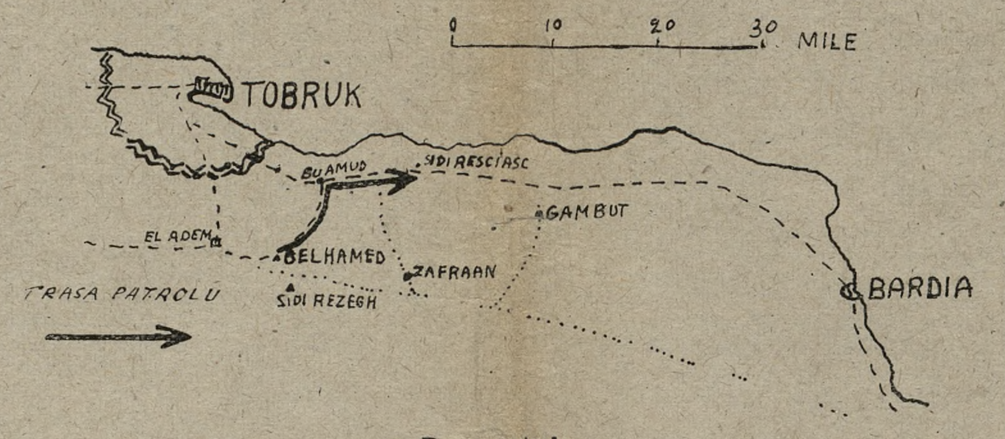

Droga patrolu

Wjeżdżamy na pagórek. I nagle niespodziewany widok roztacza się przed nami. Martwa pustynia nagle ożyła: o niecały kilometr przed nami aż się roi od ludzi. W prawo od szosy parę setek ludzi kręci się, chodzi, stoi. Mundury szare: albo Włosi albo Niemcy. W lewo zaś od szosy, dalej jeszcze, w dolince widać obóz: namioty, baraki, i też ludzie koło nich się kręcą — obóz jest zamieszkały.

Stop. Wóz stoi. Co zrobić z tym fantem? Żeby tak było ich dwudziestu, trzydziestu, możnaby dać ognia i skoczyć w środek. Ale jest ich ze dwustu. Co robić?

— Naprzód, panie poruczniku! — słyszę w tej chwili za sobą głosy działonowego i kierowcy, którzy tymczasem nadjechali.

Oczywisty absurd. Wystarczy że na szosie będą miny, wtedy ci, tam przed nami, mogą spokojnie wystrzelać nas na wozach jak kaczki. No ale wojna jest taka monotonna, od trzech lat stale biega się do tyłu, że trzeba korzystać, gdy tylko jest okazja pogalopowania naprzód. No, i jeśli ci warjaci chcą koniecznie jechać! Parlamentaryzm dziś w modzie. Wobec czego każę usunąć jeńców z wozu (ci padają na kolana, zaklinają by im darować życie) i wczuwając się w rolę Kozietulskiego, wołam:

— Pełnym gazem naprzód! Ognia!

W naszym klasowo różnolitym zespole jest tylko jeden przedstawiciel Stronnictwa Ludowego, który ze zdrowym chłopskim rozsądkiem wlot ocenia taktyczną sytuację mówiąc: „Porucznik nas wszystkich wygubi", poczem wyjmuje z pod płachty erkaem i spokojnie otwiera ogień. Dobrze się stało, bo oczywiście połowa broni maszynowej już jest zapiaszczona i nie strzela. Na szczęście, bo i tak huk i trzask jest wystarczający. Bębenki puchną. Nawet Ludwik, stary, rozsądny wydawałoby się, monter od Hartwiga, jedną ręką trzyma kierownicę, a drugą puszcza serje ze swego Schmeissera — zamiast wypatrywać min na szosie. Przypomina mi się Kock, i stwierdzam, że o wiele przyjemniej nacierać w samochodzie po asfaltowej szosie aniżeli biec co tchu w piersiach, potykając się po oraninie. A co Włosi — bo oni to byli — na to wszystko? Zachowują się nadzwyczaj taktownie: część kryje się w schronach, część ucieka do pobliskich wąwozów, część biega wkółko po polu. Cała jazda nie trwa minuty, już jesteśmy przy nich. Włosi teraz zachowują się jak na filmie, podnoszą obie ręce do góry, broń już dawno odrzucili z obrzydzeniem. Czołg stoi w dołku przy drodze, nie zdaleka go dostrzegłem, załoga czemprędzej zeń ucieka. Starszy strzelec Szuk., kierowca działonu, okazuje największy temperament. Wyskakuje z wozu, z pistoletem w ręku biegnie w pole, wskakuje do schronów, wyciąga z nich za włosy nawpół umarłych ze strachu Włochów — nie dziwię się im, sambym się bał tego warjata. Celowniczy krzyczy: „Wozy uciekają szosą!". Istotnie, szereg wozów dotychczas ukrytych zerwało się i umyka w stronę Bardji. Trzeba zawrócić działkiem. Niema oczywiście kierowcy, biega przecież po polu. „Szuk., do mnie!" — wrzeszczę. Nie słyszy, erkaemy już grają do uciekających. Za późno, znikają za fałdą terenu. Tymczasem w obozie, w dolince w lewo od szosy powstał ruch. Na wszelki wypadek puszczamy ponad dachy namiotów serje z karabinów maszynowych. Kierowca Szuk. już się zjawił, chce nadrobić okazję straconą, nawraca wozem, działko wali raz po razie, Bofors aż podskakuje, pewnie z radości, że po latach tułaczki znów jest w rękach polskich, huk okropny. Działonowy, zamiast pilnować działonu, biegnie w stronę obozu. Krzyczy do nas: „Panie poruczniku, nie strzelać, to szpital!" i biegnie dalej. Niech zginie, gdy chce tak koniecznie. Rozstawiam karabiny maszynowe na stanowiskach: jeden zamknie szosę od Bardji, drugi kierunek wąwozów, dokąd zwiali Włosi, trzeci dolinkę z obozem. Działko wycelowane na szosę. Celowniczego, młodziutkiego Józia K., jestem pewien jak Zawiszy — ten nigdy nie odbiegnie od działka, nawet po najcenniejszy łup, w hucie śląskiej nauczył się pilnować swego zajęcia. Chłopcy już zrobili porządek z kupą jeńców. Półroczne warty w aleksandryjskich obozach jeńców dały im świetną praktykę w tej dziedzinie. Już Włosi stoją grzecznie w dwójkach, już odliczeni, jest ich równo 80. Czarny Piotruś, dzielny 19-letni przedstawiciel mniejszości narodowej, pilnuje ich z groźną miną i z zapiaszczonym pistoletem maszynowym, strasznie przejęty odpowiedzialną rolą. Ale trzeba pojechać za Karolkiem, jeszcze go tam szlak trafi. „Michał, zastąpisz mnie!" — wołam do jedynego pozostałego kaprala. Siadam na wóz Ludwika i z gońcem jedziemy do obozu.

Po chwili jesteśmy już przy pierwszych namiotach. Oto, co widzę. Olbrzymiego wzrostu wojowniczy Karolek uprzejmie rozmawia z...oficerem niemieckim: wyraźnie ani myśli o podrzynaniu mu gardła. Niemiec jest wysoki, mundur zgrabnie wcięty, lśniący pas, Mauser u boku, na piersi jaskrawo w słońcu połyskuje biało-czerwono-czarna wstążka Eisernes Kreuz. Na mój widok Niemiec staje na baczność i sprężyście salutuje. Karolek zaś informuje:

—To jest komendant szpitala niemieckiego. Pułkownik.

Jednocześnie Niemiec wyjmuje z pochwy Mausera i wręcza mi go.

Wszystkiego się spodziewałem, ale nie że „zdobędę" niemiecki szpital. Co z tym fantem zrobić? Nigdy na ćwiczeniach nie przerabialiśmy takiego zadania, absolutnie nie pamiętam, co regulamin każe w tym wypadku uczynić. Na szczęście kapral Kr. dodaje:

— W szpitalu są jeńcy aljanccy. Żołnierze i oficerowie.

To mi nasuwa myśl. Żądam zaprowadzenia mnie do nich. Karolek zmienia swą rolę działonowego na tłumacza; kończył gimnazjum w Cieszynie, był pod okupacją, płynnie mówi po niemiecku.

Ruszamy we trójkę w głąb obozu. Mijamy barak jeden, drugi, trzeci. Tłum żołnierzy niemieckich wyszedł z baraków — pewnie to sanitarjusze — i przygląda się nam z zaciekawieniem. Czuję się mocno nieswojo: nie lubię widoku Niemców, zwłaszcza gdy jest ich za dużo. Na szczęście nie okazują złych zamiarów. Widok tego wspaniałego pułkownika niemieckiego — ma w swej chudej twarzy coś z rycerza wojny trzydziestoletniej — przypomina mi, że jestem nieogolony. W białych od kurzu battle-dressach, z niegolonemi od tygodnia brodami, z pistoletami przewieszonemi przez

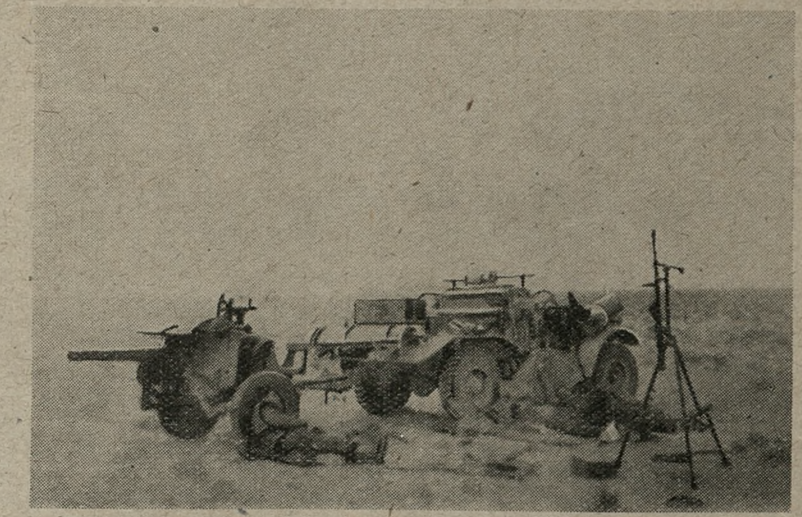

Działon na patrolu w pustyni; postój

ramiona, wyglądamy na dzikusów pustynnych, razimy na tle tego czystego, cywilizowanego szpitala. Pewnie biorą nas za Australijczyków. Nasze pistolety maszynowe, to niemieckie Schmeissery — dobrze, niech myślą żeśmy je dawnym posiadaczom odebrali wraz z życiem.

Niemiec wprowadza nas do jakiegoś namiotu. Sala pełna łóżek. Ale co za łóżka! Pościel biała, śnieżna. Od wielu miesięcy nie widziałem takich łóżek! Na nasz widok oczy rannych kierują się z zaciekawieniem w naszą stronę. Pułkownik niemiecki wskazuje na łóżka w kącie sali i mówi:

— Da sind eure Kameraden. Offiziere.

Podchodzę do tych łóżek i jakbym był co najmniej dowódcą polskich sił zbrojnych na Bliskim Wschodzie, oświadczam z patosem:

— I've just occupied this hospital with Polish troops. I've the pleasure to announce that you ar'nt already prisoners. You are free!

Poczem witamy się serdecznie, przez pomyłkę o mało nie ściskam dłoni rannego Niemca. Nasi ranni, to przeważnie Nowozelandczycy i czołgiści brytyjscy. Gdy mówię że zaraz muszę wyjeżdżać, trzech zdrowszych chce jechać z nami. Ani chwili dłużej nie chcą zostawać u Niemców, mimo że stwierdzają, iż im źle nie jest, najlepszy dowód, iż butelki z winem widzę przy łóżkach. Rany nie pozwalają się ruszyć pozostałym.

Wobec czego przy pomocy tłumacza stawiam pułkownikowi niemieckiemu następujące żądania. (Miałem już czas je ułożyć). Po pierwsze: lżej ranni oficerowie brytyjscy opuszczą zaraz ze mną szpital; komendant szpitala dostarczy im środka lokomocji. Po drugie: wszyscy pozostali ranni brytyjscy przestają od tej chwili być jeńcami. Po trzecie: komendant szpitala odjedzie wraz ze mną do Tobruku celem ustalenia z brytyjskiemi władzami sanitarnemi, przejęcia przez nie szpitala oraz w charakterze zakładnika, odpowiadającego za bezpieczeństwo pozostawionych w szpitalu jeńców brytyjskich. Po czwarte: cała broń, posiadana przez obsługę szpitala, zostanie natychmiast wydana. Po piąte: na czołgu przy szosie umieści się zaraz znak Czerwonego Krzyża, aby uniknąć powtórnego ostrzelania szpitala przez nadchodzące nasze oddziały. Ten warunek miał wykazać naszą dobrą wolę i zachęcić pułkownika niemieckiego by zgodził się wykonać inne żądania. Czuję się bowiem coraz bardziej w pozycji pana Zagłoby — egzekutywy właściwie nie mam. Na szczęście, Niemiec bez dyskusji zgadza się na wszystkie warunki. Proponuje tylko, aby pojechał z nami komendant szpitala włoskiego, który znajduje się wpobliżu — wyraźnie Niemiec unika sam na sam z Polakami. Zgoda. Posyłają po niego. Po paru minutach zjawia się. Wyjmuję notatnik i urządzam na stojącego „odprawę". Nazwiska i stopnie panów? „Oberstabsarzt Besdziek". „Capitano Cazzarolli Giovanni". Stany szpitali? W niemieckim — 120 sanitarjuszy i 320 rannych Niemców; we włoskim — 67 sanitarjuszy i 37 rannych Włochów. Dodaję: razem stan w szpitalach 544. Na szosie jeńców 80. Razem stan jeńców 624. Zabawnie będzie wyglądał meldunek dla sztabu w zestawieniu ze stanem własnym: ludzi 9.

Na szosie terkocą karabiny maszynowe. Ładna historja, teraz ja za chwilę będę w niewoli. Każę komendantom przygotować się do wyjazdu i sam z duszą na ramieniu idę do wozu. Szybko wyjeżdżamy na szosę. Co się stało? Jakieś grupki żołnierzy ukazały się koło wąwozów, wygląda jakby przygotowywali natarcie. Mam już dość tej zabawy, zaczynam mieć złe przeczucia. Chcę wracać do domu. Patrzę z obrzydzeniem na tłum jeńców. Gdy generał chciał jeńca w Tobruku, całemi tygodniami ani jeden nie chciał się dać złapać. A teraz co zrobić z tą bandą? Prowadzić piechotą? Będą wlekli się dwadzieścia kilometrów do Belhamedu do wieczora. A ja muszę wrócić na południe.

Cwaniak Szuk. rusza konceptem:

— Panie poruczniku, w szpitalach są ładne wozy, wartoby wziąć kilka, szkoda Anglikom zostawiać.

Ma rację. Na migi zapytuję jeńców, który z nich umie prowadzić wóz. Zgłasza się dwóch. Jadę z powrotem do szpitala. Żądam od pułkownika niemieckiego dwu dużych ciężarówek.

— Zgodnie z konwencją genewską nie chcę przerywać biegu pracy szpitali, ale pan rozumie, że nie mogę w pustyni zostawić jeńców.

Dobrze, będą wozy. Kierowcy idą je wybierać. Marudzą, nabierają benzynę, dolewają wody. Ambulans też marudzi, wreszcie podjeżdża, ładują rannych oficerów nowozelandzkich. I w tym wypadku sprawdza się słuszność tezy Wavella, że dowodzenie taktyczne jest na wojnie znacznie łatwiejsze od rozwiązywania zagadnień administracyjnych. Na szczęście, kapral Kr. okazuje się nieoceniony: mówi nie tylko po niemiecku, ale w kryminale włoskim opanował język Danta, w brygadzie przez dwa miesiące był w kolumnie sanitarnej (co za hańba!) i stąd konwencję genewską ma w jednym palcu, w szpitalu czuje się jak u siebie w domu. Najlepszy tego dowód: przeszedł się po barakach i już ma w ręku zwój lornetek oficerskich. Wicek, wierny adjutant, też nie próżnuje: sanitarjusze i oficerowie znoszą mu grzecznie pistolety a on nawija je porządnie na sznurek; ma już ich ze czterdzieści. Dobrze, wystarczy na podatek dla dowódcy kompanji, łup się udał tym razem. Spryciarz Szuk. przesuwa się pod barakiem, niesie też w ręku wiązkę pistoletów, a za nim dwóch sanitarjuszy niemieckich ugina się pod ciężarem koszy pełnych butelek.

— Odwiedziłem kasyno oficerskie, — woła do mnie wesoło, — zapraszamy pana porucznika do działonu na pierwszorzędne wina!

Wreszcie na szosie ustawiają się wozy. Wracać będziemy imponującą kolumną. Na przedzie chevroletka. Koło Ludwika jadą w szoferce obaj komendanci szpitali. Ja na górze wozu z gońcami. Za nami staje ambulans. Kierowca niemiecki, przy nim zasiada żołnierz angielski — rekonwalescent, którego też zabieramy. Następnie stają dwa wielkie 6-tonnowe wozy, wyładowane po brzegi jeńcami. Na końcu kolumny będzie jechał wóz działonu, jako straż tylna.

Alarm! Trzy wozy pancerne na horyzoncie od strony Tobruku. Chwila niepokoju. Ale to nasi. Po chwili są przy nas. Eskortują wóz osobowy. W środku wozu nie byle kto: generał brytyjski. W towarzystwie adjutanta umytego, ogolonego, w płaszczu jak z wystawy na Piccadilly. Wiadomo: sztab. Składam krótki raport. Generał przyjmuje go łaskawie do wiadomości. Dziękuje za zajęcie się losem oficerów brytyjskich.

— Pośpieszył się pan, — mówi, — przygotowujemy właśnie pościg za nieprzyjacielem tą szosą. Za mną jedzie mój brygadjer, on panu powie, dokąd odesłać rannych oficerów.

Wnioskuję, że to musi być co najmniej dowódca dywizji, a może i korpusu. Jego też poniosło — patroluje przedpole przed swem wojskiem. Zwycięstwo, pustynia, motor — upajają nawet zimnych generałów angielskich.

Wracamy wolno ze względu na rannych. Po kwadransie dojeżdżamy do Bu Amud. Jakież nasze zdziwienie! Przed dwiema godzinami było tu pusto, teraz co za masa wojska się zwaliła. Przyjechali z Tobruku. Co najmniej bataljon czołgów, samochody pancerne, ze dwa bataljony piechoty na samochodach. Aha, przygotowują się do pościgu — trochę późno. Stajemy, żegnam Nowozelandczyków (zmuszają mnie do wypicia kubka wina, które dostali na drogę), stąd ambulans i komendantów szpitali odsyłam do Tobruku, rekonwalescentowi angielskiemu daję karabin: niech on ich teraz eskortuje. My z jeńcami jedziemy do Belhamedu.

Po dwudziestu minutach wjeżdżamy w pozycje kompanji. Jest to wjazd tryumfalny. Jeszcze żaden patrol nie wrócił z takim łupem. Żołnierze kompanji, to młódź co niedawno przyjechała z Anglji. Toteż sensacja, wywołana widokiem zdobycznych wozów i 80 jeńców, jest należyta. Oficerowie brytyjscy otrzymują po pistolecie. Jedziemy skolei odstawić kino w dywizjonie. Dowódca w schronie przyjmuje mnie kwaśno. Po wojskowemu: O.P.R.

— Generał przyjechał z Tobruku, a pana nie było na pozycji.

Proponuję aby wyszedł na dwór, dokonał przeglądu jeńców.

— Co za jeńcy?

— A, wzięliśmy kilku.

Wychodzimy. A tu przed schronem stoi piękna kompanja, w dwuszeregu, wyrównana, Włosi prężą się jak mogą, dawno się już takiej parady nie widziało, w Tobruku zbiórek nie było. Działonowy zdaje raport. Dowódca aż zaniemówił w pierwszej chwili. Pewnie dlatego że w r. 1918 sam dostał się do niewoli włoskiej! Teraz po latach wierni podkomendni pomścili wreszcie tę hańbę. Będzie mógł już zjeść obiad spokojnie.

*

— Tak, panie poruczniku, fatalnie się złożyło z temi szpitalami — mówił potem nieraz Karolek, działonowy. — Na cholerę się tam znalazły? Tak mówiłoby się: działon pod Sidi Resciasc w brawurowej szarży rozbił bataljon włoski. A tak wszyscy tylko mówią: „szpital i szpital". A o bitwie przedtem stoczonej nikt nie wie.

Rzeczywiście, gdy baterja po trzech dniach wróciła z pustyni do Tobruku i dołączyła do brygady, wątpliwa sława sukcesów odnoszonych w walce ze szpitalami, już ją wyprzedziła, przylgnęła do niej na dobre. Na szczęście, przyszła bitwa pod Gazalą, i mój przyjaciel, dzielny dowódca karjerów, zdobył włoski...dom publiczny. Ten wspaniały wyczyn olśnił tak szeregi brygady, że o naszych szpitalach wreszcie na szczęście zapomniano.

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI.

---

*) Bitwa pod Sidi Rezegh (pierwsza wielka bitwa czołgów w pustyni) skończyła się naszem zwycięstwem, nieprzyjaciel jeszcze oblega Tobruk od południa i zachodu, natomiast ze wschodniego odcinka już się wycofał.

MARJA PAWLIKOWSKA

Poetka i jej znajomy

I

Patrząc na szklaną chatkę — angielskie
inspekta —
Melancholijnie wzdycha zziębnięta poetka.
Obok niej młodzian, w lokach, z czapczyskiem na bakier,
Z nosem à la Kościuszko i z przesądów
brakiem.
POETKA: „Tak niedawno, tak niedawno
jeszcze,
I ja tak żyłam, skryta przed wichrem i
deszczem —
W równej temperaturze, pod miłosną
pieczą...
Aż dziś mnie na tak ostry wystawiono
przeciąg!
Zazdroszczę tym rzodkiewkom, sałatom,
karczochom,
Tym faworytom w jasnym schronie, tym
pieszczochom,
Gdy mną tak atmosfera pomiata surowa...
MŁODZIAN: Pani to wiecznie w pretensjach, w narowach!
Ale jej wytłumaczę, choć to niezbyt grzecznie:
Roślinom się należy, bo są po-ży-tecz-ne!

II

Raz gdy preludjum grała ta sama poetka,
Młodzian uszy zatykał aż ich nie odetkał,
Mówiąc: „Taką muzyką uwodzi się
szczury!".
Dorwał się do pianina. Ręce wzniósł do góry
I „Umarł Maciek, umarł..." rąbie z wielką
mocą,
Aż truchleją Anglicy a szyby łopocą.
Nie bójmy się o Maćka! Żyje, nic mu nie
jest!
Bujne to zielę! Wschodzi gdzie go nie
posiejesz!

Przepowiednie

Polak prawdy nie znosi, zato lubi cuda
I wierszyk z przepowiednią, co mu tak się
udał!
Choć do czytania wierszy naogół nieskory,
Jak z nut ci recytuje: „Nadejdą te pory!"...
Czemu? Gdyż twór ten, dziwną
pisany polszczyzną,
Przyjemnie głaszcze dumę naszą i naiwność.
Jedno trafnie przeczuła seansowa
zmora:
Że źle po polsku mówić będziemy w „tych
porach".

Fraszka ironiczna

Wszystko ma światła i cienie —
Nawet wojna ma blask swój: pożar,
Gdy ku niebu strzelają płomienie
Miast czy statków na dalekich morzach.

Lecz to trudno! Każdy świeci czem może!
Innych blasków, innej „jasnej strony"
Ja nie widzę, nie widzę, mój Boże,
W tem bezradnem szaleństwie szalonych!

Owad ludzki

Uważacie, jak dzisiaj trudno się dogadać
Z bliźnimi na tym świecie? — Zmienia
się gatunek.
Skrzydła wzamian za rozum. Jakaż na
to rada?
Owadziejemy! — Spróbuj mówić do owada!

MARJA PAWLIKOWSKA.

BIBLIOTEKA KÓRNICKA PAN

IGNACY BALIŃSKI

Ze wspomnień o dawnej Warszawie

LATA UNIWERSYTECKIE[1]

Czasy uniwersyteckie są niewątpliwie najprzyjemniejszym okresem w życiu. Opromienia je poczucie swobody, pęd pierwszej młodości, brak zbyt uciążliwych obowiązków i sympatja ogólna. W Warszawie byliśmy faworytami całej ludności, nie tylko inteligencji. „Skubentów" lubiły wszystkie warstwy, a rzemieślnicy i sklepikarze chętnie im kredytowali.

Mundury były tego samego kroju i barwy co gimnazjalne, tylko z podwójnemi galonami i wypustkami. Zresztą nie obowiązywały nawet na egzaminach. Zadowalano się noszeniem czapek także granatowych, lecz okrągłych i ze spuszczonemi daszkami. Nie uchodziło jednak, aby trzymały się sztywnie, ale żeby były jak najbardziej pomięte; tradycja ta przechowała się w naszych wyższych uczelniach aż do ostatnich czasów.

MIESZKANIA. REMINISCENCJE SZACHOWE

Mieszkania były zawsze dość drogie w Warszawie, toteż niezamożna większość „akademików", jak nas także nazywano, nie mających rodzin w mieście, gnieździła się po kilku w jednym pokoju i starała się za udzielanie korepetycyj i lekcyj otrzymywać mieszkanie z „wiktem".

Ja zamieszkałem na ul. Widok 15/17 w domu, który jakiś czas należał do mojej wujenki a potem do jednego z wicedyrektorów kolejowych, inż. Kopytowskiego. Był on ożeniony z panną Taczanowską, siostrą dr. Taczanowskiego, kolegi i przyjaciela dr. Chomętowskiego, a gdy ten umarł młodo (1881), przez wiele lat jednym z opiekunów pozostałej wdowy, jedynej córki Odyńca, i jej małoletnich córek. Rodzina mojej żony miała mu wiele do zawdzięczenia.

W domu tym mieszkałem najprzód z Lipskim, potem sam, zajmując kolejno od jednego studenckiego pokoju do dwóch i czterech, płacąc po 120 rb rocznie za pokój. Mieszkałem tam aż do przeniesienia się w pół roku po ślubie (1894) do domu mojej żony i jej sióstr na Marszałkowską 27. Za opał płacono wtedy po 1 rb za korzec węgla z dostawą, a na jeden piec wystarczało dziesięć korcy na rok.

Tylko przez dwa lata (1889–1891) mieszkałem na Kredytowej wprost Jasnej z przyjaciółmi, dr. Michałem Szweykowskim z Suwalszczyzny i Władysławem Jasieńskim. Obaj byli zapaleni szachiści.

Jasieński, ziemianin z północnej części pow. wileńskiego, wnuk Kazimierza Bujnickiego, autora niegdyś wziętej powieści „Pamiętniki Jordana" z historji Inflant polskich, był bardzo oczytany i posiadał zasobną, wciąż uzupełnianą bibljotekę. Jedna z jego sióstr wyszła zamąż za Leonarda Dowmonta-Siesickiego z Muśnik w pow. wiłkomierskim, a z drugą był ożeniony Czesław Jankowski, oszmiańczyk i historyk swego powiatu. W latach 1882–1892 mieszkał przeważnie w Warszawie, jako członek redakcji „Kurjera Warszawskiego", potem przeniósł się do Wilna i obok publicystyki, w której wykazał duży talent lecz często i nieopatrzność, poświęcił się czas jakiś działalności politycznej. Ostatni raz odwiedziłem go, podupadłego już na zdrowiu, w redakcji „Słowa" wileńskiego. Byłem ojcem chrzestnym jednej z jego córek.

Mieszkając z szachistami, sam nauczyłem się nieźle tej gry, studjując partje ówczesnych matadorów, zwłaszcza gambitowe. A szachy wówczas i po miastach i po dworach były bardzo rozpowszechnione. Nieraz młode panny bywały „duższe" — jak wygrywających nazywa Jan Kochanowski — od mężczyzn. W Warszawie w każdej niemal cukierence był zaciszny pokoik z szachownicami i z figurami, a wkrótce zawiązał się Klub Szachistów, którego pierwszym prezesem był sekretarz sądu okręgowego, później rejent, Żabiński. Mieliśmy w naszem mieście kilku mistrzów sławy światowej, a wśród nich najwięcej słynął Winawer.

Prus i Ludwik Straszewicz, redaktor „Kurjera Polskiego", zachodzili często do „Słowa" i czekając na zamknięcie numeru, rozgrywali partyjkę. Grali słabo.

Grywano także dużo w warcaby i w halmę, grę, wymagającą specjalnej tablicy i pionków. O „kartograniu", mało rozpowszechnionem wśród studentów, a wielce wśród starszych, napiszę w rozdziale, poświęconym życiu towarzyskiemu.

Grywałem także całemi wieczorami w szachy, bywając w czasie wakacyj w Jaszunach, ze stryjem Janem Balińskim, najstarszym synem historyka Michała, pierwszym profesorem psychjatrji w petersburskiej Akademji Wojennej Medycznej (1855–1880). Dostałem od niego na pamiątkę piękne szachy z kości słoniowej ze sztyfcikami i i ze specjalną, podziurawioną szachownicą do grywania w wagonie lub na statku.

Przyjeżdżał on co lata z dziećmi do brata Konstantego. Nieraz, chodząc z nim po lesie z fuzyjką w ręku, słuchałem jego ciekawych rozważań o psychopatologji i t.zw. „moral insanity", którą się specjalnie zajmował. Zmarł w r. 1902 i został pochowany na cmentarzu rodzinnym Balińskich z linji jaszuńskiej, w borku nad Mereczanką, gdzie pierwszy spoczął w r. 1830 Jan Śniadecki.

Prof. Jan Baliński miał ośmiu synów i jedną córkę, która może jeszcze żyje w „Dietskom Siole". Synowie i wnukowie wszyscy pomarli, niektórzy w okolicznościach tragicznych. Najzdolniejszy z nich, inżynier Piotr, długi czas reprezentant firmy Wickers na Rosję, jesienią 1918 r. przedostał się pomyślnie przez Japonję i Amerykę do Paryża, gdzie osiadł, kupiwszy dom na Boulevard Malesherbes 146. Odwiedzałem go tam parokrotnie. Zmarł przed wybuchem nowej wojny.

STOŁOWANIE SIĘ. OBIADY PRYWATNE

Stołowanie się, jak zwykle dla nieżonatych a zwłaszcza dla studentów o skromnych funduszach, było sprawą kłopotliwą. Droższe restauracje przekraczały nasze środki a tańsze szybko się przejadały.

Ja stale aż do ślubu trzymałem się obiadów prywatnych, o które nie było zbyt trudno, bo wiele rodzin ziemiańskich przenosiło się do Warszawy i chętnie udzielało takich obiadów, uważając nas za „paying guests", jak mówią w Anglji. Były one bardziej krępujące, ale zdrowsze, i dawały miłą towarzyską atmosferę.

Przez dwa tylko miesiące jadałem w restauracji Czuleńskiej na Wierzbowej wprost teatru. (Z córką jej ożenił się po utracie głosu dosyć lubiany tenor Filleborn, następca Dobrskiego w partji Jontka w „Halce").

Może dzięki temu nie nabawiłem się częstego w owych czasach kataru kiszek czy żołądka, leczonego wtedy najczęściej hydropatją i stałem noszeniem wilgotnych kompresów dokoła pasa.

Nie wiem, czy samo niedomaganie, czy też sposób jego leczenia wytwarzały u wielu pacjentów hipochondrję, ujawniającą się — co nawet Fredro wyzyskał w jednej ze swych ostatnich komedyj — częstem oglądaniem swego języka w kieszonkowem lusterku.

Dwoma, z których jako mi bliższych mogłem z tej racji podrwiwać byli: kochany Or-Ot (Artur Oppman) i Józef Broński ze słonimskiego. W r. 1903 nabyłem na spółkę z nim kamienicę przy ul. Wareckiej 10; została ona podobno doszczętnie zbombardowana w pierwszych dniach września 1939 r.

Ale obok królującej *alleopatji* leczono się także homeopatją i jakiemiś środkami nawpół tajemniczemi. Moja matka np. ufała w dwa przezroczyste płyny Matteiego z Bolonji, zwane elektrycznością białą i błękitną, inni znowu — w jakiś grzybek, podobno kaukaski, który rozrastał się w wodzie jak galareta, a wyglądał obrzydliwie. Moja kuzynka Jundziłłowa leczyła na wsi febrę wiosenną trzema gorzkiemi migdałami, na których trzeba było wypisać *koniecznie* gęsiem piórem i atramentem galasowym sylaby: *fik, nik, nik*.

Może to pomagało? Ale mnie od malarji, nabytej w dzieciństwie na Polesiu i dręczącej przez całe gimnazjum, wyleczyła nawet nie chinina, latami obficie zażywana, ale dopiero Algier i jego klimat.

Lekarzy-homeopatów znałem trzech: Kuczyńskiego, Delinikajtisa i Drzewieckiego.

Drzewiecki, mój kolega uniwersytecki — byłem bowiem cztery miesiące na medycynie i wtedy nauczyłem się palić — został podczas rozruchów 1906 r. zastrzelony na ulicy w okolicznościach nigdy nie wyjaśnionych, podobnie jak adwokat Matuszyński, syn wieloletniego reżysera opery warszawskiej.

Przez cały uniwersytet stołowałem się u pp. Mikołajostwa Górskich z łomżyńskiego na ul. Obożnej.

Przez nich poznaliśmy dom pp. Adamostwa Pinińskich także z łomżyńskiego, którzy na zimę zjeżdżali do Warszawy z trzema młodziutkiemi córkami. Urządzali oni niezbyt liczne, ale częste wieczorki i zebrania z udziałem przeważnie młodzieży akademickiej, wśród której pod wpływem urodziwych gosposi wykwitały nieraz pierwiosnki poezji, nie wyłączając i niżej podpisanego.

Wówczas nie był jeszcze znany wyraz „flirt", który miał się wkrótce rozpowszechnić dzięki romansom francuskim (Bourget, Prévost, Gyp.) i premjowanej na konkursie „Kurjera Warszawskiego" komedji Bałuckiego pod tym tytułem. A że staropolskie zwroty „smalić cholewki", „ciąć koperczaki" i „absztyfikować się", były już dawno zapomniane, wyrażenie „flirt" przyjęło się z piorunującą szybkością.

Przedmioty skrytych lub jawnych westchnień nazywaliśmy *ideałami*, bo istotnie idealizowaliśmy je jeszcze według tradycji romantyzmu, aczkolwiek nie tak już ślepo, jak Wokulski w „Lalce" Prusa. W każdym razie i w tych flirtach i próbach poetyckich było mało erotyzmu zmysłowego, który do naszej liryki wprowadził głównie Kazimierz Tetmajer.

Studenci żenili się bardzo rzadko, bo znaczna ich większość musiała przedtem zdobyć niezależne stanowisko, a „ideały" znowu nie miały naogół chęci wyczekiwać zbyt długo.

Obiady prywatne wcale dobre (trzy potrawy i kawa) kosztowały nas po 40 kop, ale naturalnie można było stołować się taniej i po traktjerniach i w kilku specjalnych tanich kuchniach dla studentów, prowadzonych pod kontrolą delegatów Tow. Dobroczynności.

Rano i wieczorem, o ile siedzieliśmy w domu, pokrzepialiśmy się herbatą z serdelkami lub parówkami i wybornem wówczas pieczywem, którego najlepsze rodzaje oprócz okrągłych kajzerek były rogaliki i parki. Chleb żytni z mąki pytlowej był częściej wypiekany nie podłużnie, ale w okrągłych bochenkach; t.zw. kneipowski jeszcze nie był lubiany.

Przez jakiś czas przyrządzała Lipskiemu i mnie herbatę czasowo osiadła w Warszawie nasza dawna nauczycielka niemieckiego z Rygi, Fräulein Haase, bardzo przywiązana do całej naszej rodziny. Wróciła później do domu naszego jako intendentka i umarła już przy samym końcu wielkiej wojny, uchroniwszy część ruchomości przed łapczywością okupantów. Drugą moją nauczycielką od dzieciństwa była Szwajcarka Mademoiselle Gottofrey, wychowanka szkół lozańskich. Jej zawdzięczam podstawy gruntownej znajomości języka francuskiego i cenny dar w postaci wielkiego dwutomowego wydania „Dictionnaire de l'Académie Française", z którego korzystałem aż do ostatnich czasów.

Wielkim sukursem w tych herbatach bywały zapasy, przywożone i przysyłane ze wsi, jak ser, masło i wędliny oraz smakołyki wyrobu domowego. Najlepsze były śliwki na rożenkach z masą migdałową.

Najwięcej nam ich dostarczał nieoceniony Stanisław Jundziłł, który często przemieszkiwał w tym samym domu. Przemycał on niekiedy pod sekretem przed starszymi prawdziwą, świetną starkę kościuszkowską.

Dotychczas jeszcze złość mnie czasem bierze, iż nie wypiliśmy przed 1939 r. kilkunastu butelek tej wódki, ocalonych z pierwszej wojny, które miałem jeszcze na Wiejskiej, jak i dwóch „fiascone" w kształcie stożków, wina Lacrimae Christi z wesela moich rodziców (1852), paru butelek starego węgierskiego ze ślubu mojej siostry z pierwszym jej mężem Stanisławem Balińskim z Jaszun (1888), oraz dwóch butelek najszlachetniejszej starej Madery, z winnic na Maderze p. Tomaszewskiej, której mąż, przyjaciel mój, zamieszkiwał u mnie, przyjeżdżając dwa razy do roku do kraju po emeryturę. Gdybyż przynajmniej wyżłopali je jacyś znawcy!...

PROFESOROWIE POLACY

Ul. Widok była jeszcze nie całkowicie zabudowana i bardzo cicha. Do uniwersytetu chodziłem zwykle Bracką, Chmielną i Nowym Światem, albo jeździłem od dworca Wiedeńskiego Marszałkowską tramwajem „zielonym", linje bowiem tramwajów konnych nie rozróżniały się numerami jak elektryczne, lecz kolorowemi tabliczkami i latarkami. Widok przy wyjściu rankiem z ciemnej ul. Chmielnej na łagodny łuk Nowego Świata z połączonemi w oddali jakby w jedną dwiema wieżami kościoła św. Krzyża w pełnem słońcu robił na mnie zawsze dziwnie wesołe i ożywcze wrażenie.

Wśród pawilonów uniwersyteckich nie było jeszcze środkowego gmachu nowej bibljoteki. Księgozbiór mieścił się w samej głębi w dawnym pałacu Kazimierzowskim, a audytorja prawników, filologów i fizykomatematyków — w dwóch pawilonach po prawej stronie. Większość wykładów dla medyków odbywała się w różnych klinikach szpitalnych. Prosektorjum mieściło się na gruntach szpitala Dzieciątka Jezus z wejściem od ul. Zgoda.

Pierwszej i bodaj ostatniej sekcji zwłok, której tam byłem świadkiem, dokonał prosektor Przewóski, ojciec niedawno zmarłej literatki, używającej pseudonimów Marja Czesława i Helia.

Osobliwością prosektorjum w owych czasach był jeden z posługaczy, który podobno regularnie wypijał spirytus ze słoi z preparatami anatomicznemi. Jakoś mu to nie szkodziło, bo chociaż sam wyglądał jak preparat, doczekał się późnej starości.

Było jeszcze za mnie wielu profesorów Polaków, którzy przeszli ze Szkoły Głównej, ale gdy tylko jeden z nich dochodził do emerytury, — a tę otrzymywano w pełni po dwudziestu pięciu latach, — na miejsce po nim mianowano Rosjanina, lecz i z nich nawet, gdy który okazał się wybitniejszy, jak np. historyk Kariejew, przenoszono go do Moskwy lub Petersburga.

O profesorach nauk prawnych z Holewińskim i z Okolskim naczele będę pisał w rozdziale mego pamiętnika, poświęconym prawnictwu. Teraz wspomnę z wdzięcznością o prof. Henryku Struwem, który na I i II kursie wykładał nam i filologom historję starożytnej i nowożytnej filozofji, oraz logikę i psychologję. Pochodzenia nie polskiego, zdaje się — szwedzkiego, miał siebie za Polaka i nie słyszałem, aby wydawał coś po rosyjsku, chociaż miał w Rosji krewnych i imienników, między innymi dyrektora obserwatorjum astronomicznego w Półkowie pod Petersburgiem. Sam był zwolennikiem systemu idealno-realistycznego i bronił metafizyki, wskutek czego nie cenili go ówcześni pozytywiści. Dzieło jego „Wstęp do filozofji" było istotną studnią znakomicie ułożonych i wyłożonych wiadomości i wyjaśnień z dziedziny wszystkich nauk humanistycznych.

Dla niektórych słuchaczy urządzał wieczorami zimą w swoim domu na Lesznie piątkowe zebrania dyskusyjne i zachęcał nas do przekładania na język polski celniejszych dzieł filozoficznych.

Ja sam, jako posiadający język angielski, którego od V klasy uczyłem się stale u Angielki Miss Jane Mirk, podjąłem się zuchwale przekładu Locke'a „Essays on Human Understanding", ale przełożywszy kilka stron, musiałem zaniechać tej pracy, wymagającej poświęcenia się studjom filozoficznym, gdy ja wybrałem już prawo cywilne i administracyjne i na III kursie zabrałem się do pisania dla prof. Okolskiego rozprawy na złoty medal o „rozwoju prawodawstwa robotniczego", której skrót drukowała później „Gazeta Sądowa". Swoją drogą, podjęliśmy się z Zenonem Przesmyckim redagowania i wydawania litograficznego wszystkich wykładów prof. Struwego. Głównym litografem kursów uniwersyteckich był Otton Fleck, który brał po 3 kop. od 16-stronicowego arkusza z papierem włącznie.

Jedyna córka Struwego wyszła za duchownego anglikańskiego, którego poznała w Gdańsku. Na stare lata Struwe przeniósł się do niej. Korespondowałem z nim jeszcze, ale niestety, nie pamiętam ani nazwiska zięcia ani nazwy jego parafji.

Wśród powag naukowych wyróżniali się chirurdzy Girsztowt i Kosiński, wychowawcy pierwszego pokolenia takich chirurgów, jak Krajewski, Jawdyński, Sawicki i inni; histolog Hoyer, patolog Brodowski, ginekolog Tyrchowski, Wrześniowski (zoologja), Łuczkiewicz (higjena) i znakomity historyk Pawiński. Słynni lekarze, profesorowie Szkoły Głównej, Chałubiński i Baranowski, już nie wykładali.

Na wydziale fizyko-matematycznym nie było profesorów Polaków, pomimo iż w dziedzinie fizyki i chemji posiadaliśmy już pracowników tej miary, co Nencki, Milicer, Dziewulski, Boguski i Znatowicz. Oni byli najwyżej asystentami i musieli wykładać skrycie po „latających uniwersytetach", zorganizowanych głównie przez p. Piasecką, zanim zdołano urządzić laboratorja i studja w Muzeum Przemysłu i Handlu. Chemik Znatowicz, redaktor „Wszechświata", był ożeniony z p. Garbowską, prawnuczką po matce Jędrzeja Śniadeckiego. Córka ich, konsulowa Szczepańska, bratowa p. Marji Kuncewiczowej, oprócz innych prac literackich, napisała udatną rzecz z młodości swej matki p.t. „Wakacje w Jaszunach".

Lektorem języka rosyjskiego — a pierwszokursiści wszystkich wydziałów musieli zdawać piśmienny egzamin w formie dyktanda — był Berg, tłumacz „Pana Tadeusza" na rosyjski. Przychodził on nieraz do Odyńca z prośbą o radę i znał podobno literaturę polską lepiej od własnej. Nikogo nie obcinał.

Rektorem w Warszawie, mianowanym przez ministra a nie wybieranym przez kolegjum — był za mnie profesor łaciny Błagowieszczenskij, którego może raz tylko w życiu widziałem. Częściej trzeba było zachodzić do inspektora po matrykuły i urlopy. Urlopy te, nader łatwo udzielane, dawały prawo do otrzymywania na kolejach Królestwa biletów II lub III kl. ze zniżką 75%. O tych urlopowanych dawano jednak znać policji miejscowej. Tak np. do mnie, do Sienieżyc pod Nowogródkiem, przyjeżdżał policjant okręgowy, zwany „uriadnikiem", dla sprawdzenia mojej tam obecności; wprawdzie czynił on to zwykle już pod koniec wakacyj, właśnie kiedy miałem wyjeżdżać.

Co roku wydawano drukowany spis wszystkich studentów według wydziałów i kursów ze wskazaniem wieku i ukończonego gimnazjum.

INCYDENT Z APUCHTINEM

Wczesną wiosną 1883 r., bodaj w marcu, zaszło zdarzenie, które można nazwać historycznem. Siedząc z Przesmyckim koło południa w bocznej salce frontowej cukierni zacnego Szwajcara Chrystjana Toura w domu Ludwika Krasińskiego, prawie naprzeciwko uniwersytetu, którą nazywano audytorjum XX, spostrzegliśmy najpierw oddziały policjantów różnych stopni, zdążające pod uniwersytet (bez zgody rektora nie mieli prawa wchodzić do środka), a wkrótce potem jadący kłusem od Nowego Świata szwadron ułanów gwardji, najszykowniejszego pułku konsystującego w Warszawie. Wpadł do wnęki między szpitalem św. Rocha a pałacem Uruskich, lecz po jakimś czasie zwolna odjechał. Od nadchodzących kolegów dowiedzieliśmy się prędko o tem co zaszło.

Przed kilku dniami zmarł student Polak (nazwiska nie pamiętam), zwolennik ruchu socjal-rewolucyjnego. Na jego pogrzebie student Rosjanin, Żukowicz, wypowiedział gorącą mowę. Kurator Apuchtin, który zajmował lewy pawilon w głębi, wezwał go do siebie i w sali przyjęć w obecności interesantów, palnął mu brutalną reprymendę, szczególnie za to, iż on, Rosjanin, przemawiał na grobie Polaka; Żukowicz niewiele myśląc palnął Apuchtina w twarz.

Wybuchł straszliwy skandal. Zamknięto wszystkie bramy uniwersyteckie, dano znać oberpolicmajstrowi i generał-gubernatorowi. Dlaczego Hurko pomimo zupełnego spokoju w całem mieście wysłał nawet nie kozaków, ale ułanów, trudno było dociec.

Pod bramą między sztab-rotmistrzem a komisarzem policji zawiązał się dialog następujący.

— Co się stało?

— Jego Ekscelencja otrzymał policzek (połuczili opleuchu).

— A więcej co?

— Więcej nic.

Na to rotmistrz zakomenderował:

— Szwadron obrót na lewo, nazad do koszar „krokiem!".

I odjechali.

Ale ten sam pułk ułanów w kilkanaście lat potem nie zachował się z taką godnością, czego doświadczyłem na sobie wraz z dr. Witoldem Lewickim, b. posłem z Dębicy do parlamentu wiedeńskiego. Działo się to koło południa w jakąś niedzielę styczniową 1906 r. w okresie, kiedy biurokracja starała się wszędzie o wprowadzenie stanów wyjątkowych, zniesionych przez manifest październikowy, i w tym celu nie tylko tolerowała ale zachęcała rozmaite szumowiny społeczne do rabowania sklepów, tłuczenia latarni, napadania na niektóre lokale i t.p., co dawało jej pretekst do strzelaniny na ulicach i wszelkiego rodzaju represyj.

Spotkawszy się z Lewickim, jako współredaktorzy, w lokalu „Słowa" na Wareckiej, zostaliśmy zaskoczeni odgłosami strzałów i wieściami o rzekomych rozruchach. Porozumiawszy się telefonicznie z żoną, postanowiłem udać się narazie do Lewickiego na Smolną.

Na Nowym Świecie było zupełnie pusto. Gdzieniegdzie przesuwał się jakiś przechodzień, na chodnikach leżało dużo potłuczonego szkła z rozbitych szyb sklepowych. Ale minąwszy Chmielną, posłyszeliśmy za sobą gwałtowny tętent. Szarżował na nas cwałem z wydobytemi szablami szwadron ułanów gwardji nie tylko po ulicy, lecz i po chodnikach od ściany do ściany. Lewicki przypadł do ziemi za wysoko, bo na schodkach magazynu Graffa, i został draśnięty w ucho. Ja upadłem na samym chodniku i uniknąłem ciosu, ale runął na mnie jakiś przechodzień — pamiętam go jeszcze — w paltocie z karakułowym kołnierzem; krew sączyła mu się z głowy. Wnieśliśmy go do apteki koło Smolnej. Wkrótce umarł.

Żona moja pod wieczór przysłała mi, abym nie wracał sam wśród ciemności, służącego naszego, Adama Stankiewicza, rodem z okolic Balingródka nad Wilją; był on niezmiernie obrotny i zaradny. Wrócił w kilka lat później do Wilna i został woźnym u rektora Siedleckiego; dopomógł mu bardzo skutecznie w czasie okupacji sowieckiej do wywiezienia i ukrycia wielu cennych przedmiotów i instrumentów. Nie mógł się też nachwalić rektor swojej ówczesnej kucharki, także „tutejszej", choć z rzymskiem imieniem Flawji, która zdołała mu ocalić nawet napoczętą butelkę wódki. Ta Flawja dostała się później do mojej bratowej Janowej Balińskiej i jej córki, Anny Sołtanowej, w Jaszunach[2].

*

Incydent z Apuchtinem stał się naturalnie przedmiotem rozważań naszych akademickich „delegacyj kursowych". Składały się one z delegatów, wybieranych w przerwach między wykładami przez każdy kurs, w liczbie mniejwięcej proporcjonalnej do liczby studentów, i zbierały się przygodnie w rozmaitych lokalach. Tym razem zebraliśmy się w bocznej oficynie jakiejś kamienicy na Chmielnej już za Sosnową, o szarej godzinie. Wyłoniły się odrazu dwa poglądy: jeden — ażeby dla zaznaczenia wyraźnego naszej odrębności narodowej, nie reagować zupełnie na to zajście między dwoma Moskalami; drugi zaś — ażeby zamanifestować naszą solidarność z antyrządowemi ruchami rosyjskiemi.

Drugi pogląd zdobył większość — szczególnie dzięki porywającej wymowie medyka Krusińskiego (może Krusiewicza; wiem, że umarł niebawem na suchoty). Manifestacja solidarności z Żukowiczem odbyła się przed uniwersytetem. Być może, przyczyniła się do uznania w Petersburgu insynuacji słynnego polakożercy Katkowa z „Moskiewskich Wiedomostiej", że to zajście było „polską intrygą".

Apuchtin otrzymał wysoki order i ugruntował się na swem stanowisku aż do śmierci Aleksandra III.

POGRZEB ODYŃCA. TRZECI MAJ. NASTROJE IDEOWE

W połowie stycznia 1885 r. ogół studentów wraz z całem miastem wziął udział w manifestacyjnym pogrzebie A. E. Odyńca, jako ostatniego epigona epoki romantycznej i filarecji wileńskiej oraz towarzysza młodości Mickiewicza. Nie obeszło się bez zajść z policją i aresztowań zwłaszcza przy cmentarzu powązkowskim. Przemówienie z ambony w kościele św. Krzyża wygłosił ks. Zygmunt Chełmicki, rozpoczynający późniejszą swoją wielostronną działalność.

Kondukt prowadził biskup-sufragan Kazimierz Ruszkiewicz, przyjaciel zmarłego i rodziny Chomętowskich. Dawał on później ślub wszystkim wnuczkom Odyńca i chrzcił moich pięciu synów. W swojej kaplicy, w dzień naszego srebrnego wesela (dn. 21 kwietnia 1919 r.) odprawił mszę, po której musiałem zaraz pojechać na dworzec wiedeński dla powitania w imieniu stolicy przybywających z Francji generałów Józefa Hallera i Aubry'ego.

Popołudniu byli oni u nas na przyjęciu a ks. biskup przyjechał z ówczesnym nuncjuszem apostolskim, mgr. Achillesem Rattim.

Po wstąpieniu na tron Mikołaja II, biskup Ruszkiewicz zaoponował przeciwko składaniu w kościele przysięgi w języku rosyjskim.

W r. 1911/12 wytoczono mu, jako zarządzającemu archidiecezją, proces karny spowodu nieuznania dla katolików ważności rozwodu marjawickiego, pomimo że sekta została już uznana przez rząd. Bronili go świetni adwokaci Pepłowski i Chrystowski, ale wyrok zapadł skazujący; później senat petersburski skasował całe postępowanie jako wszczęte nieformalnie.

Każdej wiosny, 3-go maja, grupki studentów i młodzieży chodziły z fiołkami do ogrodu Botanicznego pod resztki fundamentów kościoła Opatrzności, którego budowa była uchwalona wraz z konstytucją przez sejm i senat Rzeczypospolitej.

W setną rocznicę — 3 maja 1891 r. — pochody pod ten fundament były tak gromadne, że wywołały ostrą reakcję władz z udziałem kozaków z nahajkami po całem mieście, licznemi aresztowaniami, a następnie „zsyłkami" administracyjnemi.

Od tego czasu pozwolono otwierać ogród Botaniczny i park Łazienkowski dla publiczności dopiero po 8 maja.

*

Stosunek do religji był wówczas u większości studentów obojętny, u niektórych nawet niechętny, ale zawsze broniący wobec prześladowań i zakusów rusyfikacyjnych rządu, praw kościoła katolickiego jako stróża odrębności narodowej i mowy polskiej w kazaniach, nauce katechizmu i modlitwach w najdalszych nawet zakątkach dawnej Rzeczypospolitej i wszędzie w Rosji, gdzie przebywali Polacy.

Naogół panował w młodych umysłach pozytywizm filozoficzny Comte'a, materjalizm przyrodniczy Vogta i Buchnera, w praktyce zaś — t.zw. praca organiczna, szerzenie nauki i oświaty. Głównymi rzecznikami ruchu „postępowego" byli Świętochowski i Wiślicki, redaktor „Przeglądu Tygodniowego".

Ufano we wszechpotęgę wiedzy i rozwiązanie przez naukę wszystkich tajemnic przyrody i zagadnień życia. Wierzono np. święcie w niepodzielność, nieprzenikalność i nieprzechodzenie jednych w drugie atomów pierwiastków chemicznych, nie spodziewając się, że tuż koło nas w Warszawie rozpoczął studja fizyczno-chemiczne podlotek, który miał tak znakomicie przyczynić się do obalenia kilku uznanych już „prawd" naukowych i umieszczenia ich w skromniejszym rzędzie przejściowych hipotez.

Bardzo popularne wśród nas było dzieło Drapera (nie pamiętam już tytułu) i „Historja cywilizacji" Buckle'a, która ustąpiła miejsca objektywniejszej „Historji cywilizacji" Seignobosa w przekładzie Dygasińskiego. Nie zdarzyło mi się słyszeć, aby ktoś z kolegów zgłębiał „Kapitał" Marxa, ale czytano „Kwintesencję socjalizmu" wiedeńczyka Schäfflego i rozprawy Ferdynanda Lassalle'a po polsku, zebrane w jednym tomie pod niezrozumiałym dla mnie tytułem „Juljan Ekonomiczny".

Z drugiej strony trzeba zaznaczyć, że większość nowszych polskich dzieł historycznych i religijnych nie miała jawnego dostępu spoza kordonu. Nawet roztrząsania moralno-teologiczne i społeczne Morawskiego p.t. „Wieczory nad Lemanem" uległy ostrej cenzurze. To samo działo się z patrjotyczną poezją emigracyjną, dozwoloną w zaborze austrjackim. Ostatnie trzy tomy nieznanych a najświetniejszych utworów Słowackiego, uporządkowanych i wydanych po raz pierwszy przez Małeckiego we Lwowie, zaczęły do nas z trudnością dochodzić. Pamiętam wstrząsające wrażenie, gdyśmy poznali w całości „Grób Agamemnona", „Kordjana" i „Horsztyńskiego". Pęd do poezji rozbudził się nanowo mniejwięcej koło r. 1884, w którym obchodzono w Krakowie uroczyście, w Warszawie zaś cicho — trzechsetną rocznicę zgonu Jana Kochanowskiego, i może bardziej pod hasłem Słowackiego niż Mickiewicza.

Z dumą powtarzaliśmy za Byronem:

> *O, talk me not of a name great in story,*
> *For the days of our youth are the days*
> *of our glory!*

Ale częściej z zapałem deklamowaliśmy za Słowackim apostrofę, którą w takich lub innych słowach powtarzało i powtarzać będzie każde młode pokolenie:

> *Honor myślom, z których błyska*
> *Nowa treść i forma nowa,*
> *Bo są światu, jak zjawiska,*
> *Jako jutrznia są różowa.*

Gdybyż tylko pamiętano, ileż to łun było branych za jutrzenki!...

POMOC SPOŁECZNA. KONCERTY STUDENCKIE

Wspominałem już o sympatji ogółu dla akademików. Ujawniała się też w pomocy materjalnej, najprzód w formie dostarczania korepetycyj i angażowania nauczycieli domowych na wieś, na stałe z przerwą na czas egzaminów, lub na okres wakacyjny, a na dłuższą metę przez częste ofiarowywanie i zapisywanie w testamentach stypendjów, wreszcie w doraźnych składkach na opłacanie wpisów.

Groźne były pod tym względem ostateczne terminy — 1 października i 1 marca starego stylu. W gazetach, a szczególnie w „Kurjerze Warszawskim" i w „Codziennym", otwierano zawczasu rubrykę ofiar na wpisy p.n. „Feralna Trzynastka". Po r. 1900, spowodu opóźnienia się kalendarza juljańskiego o jeden dzień, zmieniono ten tytuł na „Feralna Czternastka", chociaż ta biedaczka nigdy nigdzie nie ulegała przesądowi feralności.

Najobfitszem dorocznem źródłem dochodów na wpisy były bale i koncerty studenckie. Bale odbywały się w karnawale zawsze w Resursie Kupieckiej na Senatorskiej. Były bardzo modne i mile widziane przez wszystkie sfery towarzyskie. Bilet wejścia kosztował 3 rb. Studenci we frakach, nie w mundurach, byli gospodarzami i nawet wodzirejami. Do najdzielniejszych za moich czasów należał medyk Kurtz i prawnik Bogatko.

Białych kamizelek wtedy nie noszono (tylko służba na paradniejszych przyjęciach); noszono czarne, wycięte w formie serca przy szeroko rozwartych stojących kołnierzykach i białych krawatkach, zawsze gotowych a nie wiązanych; kosztowały od 30 do 50 kop. O tańczeniu bez białych glansowanych rękawiczek nie mogło być mowy.

Damy w ówczesnych fasonach mody miały tak duże tiurniury, iż żartowaliśmy, że z biedy mogłyby utrzymać filiżaneczkę czarnej kawy. Efekt ich wypiętości powiększało zwężenie, jakby spętanie, spódnic poniżej kolan. Rękawy były bardzo krótkie, co wymagało długich rękawiczek. W uczesaniu uderzały grzywki spuszczane gładko na czoło, rzadziej podfryzowane.

Ale jeszcze znaczniejszy dochód przynosiły koncerty na rzecz studentów. Odbywały się zwykle w jedną z pierwszych niedziel wielkiego postu w godz. 1—4 pp. w Salach Redutowych, zajmujących pierwsze i drugie piętro Teatru Wielkiego od perystylu aż do Wierzbowej, z dwoma wejściami od Teatru Wielkiego i Rozmaitości. Dawało to możność ustawiania aż czterech stolików dla dam, zapraszanych do sprzedawania programów. Programy te, jak wszystkie afisze, musiały być w dwóch językach. Dyrekcja teatrów rządowych udzielała zawsze gratis tych sal z oświetleniem, oraz zezwolenia na udział orkiestry operowej.

Koncerty studenckie cieszyły się olbrzymiem powodzeniem ze względu na cel oraz udział pierwszorzędnych polskich sił artystycznych, zarówno stale przebywających w Warszawie jak i bawiących na występach gościnnych, że wymienię Sembrich-Kochańską, Modrzejewską i Mierzwińskiego.

Dzięki protekcji starszych organizatorów tych koncertów, prawnika Wołowskiego i medyka Dmochowskiego[3], już na pierwszym kursie wszedłem do komitetu koncertowego, co dawało sposobność do przychodzenia na próby, zbliżania się do artystów, przywożenia i odwożenia karetami występujących pań. Gospodarze koncertowi w zapiętych na wszystkie guziki mundurach i w białych krawatach, wskazywali miejsca i asystowali paniom, sprzedającym programy, ale największym zaszczytem było wprowadzanie artystek na estradę i ofiarowywanie im bukietu. Raz jeden dostąpiłem tego zaszczytu, wprowadzając p. Jadwigę Czaki, która deklamowała mój wiersz.

Koncert z kwadransową przerwą składał się z dwóch numerów orkiestrowych, fortepianu i skrzypiec lub wiolonczeli, dwóch numerów śpiewu i dwóch deklamacyj, ale trwał długo spowodu licznych bisów, które — trzeba wiedzieć — należało też cenzurować zawczasu pod groźbą grzywny dla wykonawcy i dla przedsiębiorcy.

Pewnego roku, muzyk amator, Gustaw Plater z Wileńszczyzny, złożył hojną ofiarę z prośbą, aby mógł zadyrygować numerem orkiestrowym, co uważał za jedną z największych przyjemności, zwłaszcza z taką znakomitą orkiestrą. Za zgodą dyrektora Münchhejmera, po paru próbach poprowadził zupełnie udatnie muzykę baletową z „Demona" Rubinsteina[4].

Na jednym z koncertów widziałem, jak Królikowski żegnał się, wychodząc na estradę przed deklamacją „Ojca zadżumionych", której połowa sali wysłuchiwała ze łzami w oczach.

Widziałem, stojąc przy Mierzwińskim, jednym z rzadkich tenorów o wysokim wzroście i potężnych barach, noszącym spiczastą bródkę, nazywaną od niego „à la Mierzwiński", jak przy wyrzucaniu wysokich tonów klatka piersiowa podnosiła się mu i opadała, niby miech kowalski. A w pewnej arji, zdaje się, z „Nieszporów sycylijskich", zabrzmiał tak że w bliższych oknach Sal Redutowych zabrzęczały szyby.

Lecz największe wrażenie sprawiała deklamacja Modrzejewskiej, która wtedy po raz pierwszy występowała w Warszawie po tryumfach amerykańskich, a w szczególności jej głos i umiejętność jego używania, co stanowiło może połowę jej uroku.

Opowiadał nam Sienkiewicz, że raz w San Francisco, gdy na zebraniu towarzyskiem proszono ją o zadeklamowanie czegoś po polsku, zaczęła poprostu rachować od jednego, a samem brzmieniem głosu i jego modulacjami wywołała niekłamane wzruszenie słuchaczy.

Na ten nasz koncert wybrała „Hagar na puszczy" Ujejskiego, wiersz dający sposobność przechodzenia od chrapliwego niemal głosu umierającej z pragnienia do wykrzyków rozpaczy i najtkliwszych błagań matki dla syna.

A nad program powiedziała „Pożegnanie" Krasińskiego:

> *Ledwom cię poznał, już cię żegnać muszę,*
> *A żegnam ciebie, jak gdybym przez wieki*
> *Żył z tobą razem i kochał twą duszę,*
> *A teraz jechał w jakiś kraj daleki*
> *I nie miał nigdy już zobaczyć ciebie,*
> *Chyba gdzieś, kiedyś, po śmierci, tam*
> *w niebie...*

„I NIE MIAŁ NIGDY JUŻ ZOBACZYĆ CIEBIE"...

W lat wiele, wiele potem przypomniały mi się te słowa, i to w pełnem tęsknoty i beznadziejności brzmieniu głosu Modrzejewskiej, kiedym się dowiedział o śmierci w katastrofie samochodowej mego syna Józefa i synowej (1928), i w kilka lat później (1934) na wieść o śmierci syna mego Kazimierza w Pirenejach hiszpańskich, i jeszcze raz wkrótce potem, gdym ujrzał zgasłą nagle we śnie moją żonę.

A teraz tu na obczyźnie te słowa i ten głos płoszą mi nieraz sen z powiek, kiedy to „*Ciebie*" obejmuje już nie tylko kilku najdroższych, ale dziesiątki, jeśli nie setki krewnych, bliskich, przyjaciół, kolegów, znajomych, kiedy dla mnie starego obejmuje pewnie także i Ciebie, Warszawo, i Ciebie, ziemio rodzinna!

IGNACY BALIŃSKI.

---

[1] Fragmenty z pisanego w Anglji dla rodziny pamiętnika; por. nr. nr. 145/146 i 159 „Wiadomości Polskich".

[2] Brat Janowej Balińskiej, Karol Wagner, obecnie uchodźca w Anglji, doprowadził rodzinny majątek do stanu tak wzorowego, że jego Wielkie Soleczniki zwiedzały wszystkie cudzoziemskie delegacje rolnicze. Jest on doskonałym strzelcem i jednym z nielicznych Polaków, którzy polowali na stokach Pamiru.

[3] Dr. Kazimierz Dmochowski, syn jednej z sióstr mego ojca, osiadł później w Wilnie. Przy pierwszem najściu bolszewików był uprowadzony pieszo do Dźwińska i długo więziony w Smoleńsku. Jego żona, Emma Jeleńska, z Komarowicz pow. mozyrskiego, autorka kilku powieści, była gorliwą działaczką w Wilnie, skazaną raz na dwa miesiące więzienia. Jedna ze szkół miejskich w Wilnie nosi jej imię.

[4] Córka Gustawa Platera, Leonowa Wańkowiczowa z mińszczyzny, popleczniczka gen. Dowbora-Muśnickiego, sprzedała później majątek ojcowski Bortuszki, rozdzielony kordonem granicznym z Litwą na dwie połowy, Aleksandrowi Lednickiemu.

POD NOWYM ZARZĄDEM
RESTAURACJA FRANCUSKA
LA COQUILLE
79, ST. MARTIN LANE, LONDON, W.C.2
Tel.: TEMple Bar 8768
W niedziele zamknięta

BRYLANTY ZDROŻAŁY O 100%
PŁACIMY NAJWYŻSZE CENY W LONDYNIE ZA BRYLANTY, ZŁOTO (168/- ZA UNCJĘ)
Bizuterje, klejnoty, kamienie szlachetne, srebro, platery, antyki i kosztowności wszelkiego rodzaju. Gotówka natychmiast. Prosimy o odwiedzenie nas; zgłoszenia przesyłką poleconą albo telefoniczne: MAYfair 5825
LINDEN & CO. 85, New Bond Street, London, W.1
PIERWSZY SKLEP JUBILERSKI PRZY NEW BOND ST.

聚英酒樓
CHOY'S
CHIŃSKA RESTAURACJA
26–28, Dean St., SOHO, London, W.1
tel.: GERrard 6086
otwarta codziennie od 12–10 wiecz.
w soboty i niedziele od 12–10.30 wiecz.

STRATTON STREET PICCADILLY, W.1.
Phone: *MAYFAIR 7807-9*
LE COQ D'OR RESTAURANT
MAISON FRANÇAISE
Sala restauracyjna, większe i mniejsze sale bankietowe

POLSKI KUŚNIERZ
dawniej w Katowicach
LANGER & COMPANY (Furriers) LTD.
Wykonywa futra NOWE i przeróbki wszelkiego rodzaju. Futra na składzie. Specjalne udogodnienia dla prowincji.
59, KNIGHTSBRIDGE, S.W.1. *tel. SLO* 3626

JĘZYK ANGIELSKI
Kursy korespondencyjne. Doświadczona nauczycielka udziela specjalnych lekcyj angielskiego drogą korespondencji. Powodzenie zapewnione. Proszę napisać: Tutor, 64, Finchley Ct., London, N.3

AKROPOLIS
RESTAURACJA GRECKA
z prawem sprzedaży trunków
dobra kuchnia wina greckie
24, PERCY STREET, W.1
tel. MUS 2289

SKŁADY APTECZNE • DROGERJE
PROSIMY wszystkich Polaków przebywających w Anglji aby zwracali się z zaufaniem osobiście lub drogą pocztową z receptami i z wszelkiemi zapotrzebowaniami farmaceutycznemi lub medycznemi do składów aptecznych:
John Bell & Croyden, 50/52, Wigmore Street, W.1
(*służba dzienna i nocna*)
Wm. Martindale, 75, New Cavendish Street, W.1
Wallas & Co., 45, New Cavendish Street, W.1
wszystkie pod ścisłą kontrolą
SAVORY & MOORE LIMITED
Aptekarzy Jego Królewskiej Mości
143, New Bond Street
LONDON W.1

SLOane 1537
JANE AND JUDY
SPECJALIZUJĄ SIĘ W PRZERÓBKACH
Przeróbka sukien, płaszczy, kostjumów, kapeluszy, bielizny.
Szyją z powierzonych im materjałów i chętnie podejmują się nawet najdrobniejszych przeróbek.
Mówi się po francusku, po niemiecku i po hiszpańsku
36, WILTON PLACE, KNIGHTSBRIDGE, LONDON, S.W.1

L'ESCARGOT Bienvenu RESTAURANT
maison française
Partners: Geo Gaudin, Alex Gaudin (French)
Service à la carte
48, Greek Street, Shaftesbury Ave., London, W.1
Phone: GERrard 4460

Vaněk KRAWIEC i KUŚNIERZ CZESKI
Każde futro po jego przeróbce wygląda jak nowe
Płaszcze i kostjumy Pierwszorzędny krój
4, William Street, Knightsbridge, również w Bournemouth

UCZCIE SIĘ ANGIELSKIEGO TERAZ
Kursy elementarne i średnie, codziennie od godz. 9 rano do godz. 10 wiecz.
Specjalne kursy dla zaawansowanych.
Nauka wymowy dla wystąpień publicznych.
THE LONDON SCHOOL OF ENGLISH
319, Oxford Street, W.1. *tel.: MAY 2120*
Nauczamy wszystkich języków.

Założona w r. 1882
RESTAURANT des GOURMETS
Kuchnia kontynentalna z prawem wyszynku
Zapas przednich win francuskich
47, 48 & 49, Lisle Street, Leicester Square, W.C.2
tel. GERrard 5511

WHITE TOWER RESTAURANT
1, Percy Street, Tottenham Court Rd., W.1
Śniadania i obiady
Kuchnia grecka — wina greckie
zamknięta w niedziele
Pożądane wcześniejsze zamawianie stolików
tel. MUSeum 2187 i 2826

B. BOSHER & SONS
464, Edgware Road, London, W.2
tel.: PADdington 1482
Secondhand Furs for Sale
Loans on Furs and Jewellery
Special Fur Storage

COSMO RESTAURANT
5-6, North Ways Parade, London, N.W.3
niedaleko Swiss Cottage (stacji kolei podziemnej)
tel. PRImrose 2627
Pierwszorzędna kuchnia domowa
Potrawy angielskie, polskie i wiedeńskie
Menu od 1/6 wzwyż Miła atmosfera
Otwarta od godz. 9 rano do godz. 11 wiecz.

IRENA PIOTROWSKA

CHEŁMOŃSKI W ZBIORACH AMERYKAŃSKICH

Nowy Jork, w maju 1943.

Józef Chełmoński należy do artystów polskich najlepiej reprezentowanych w zbiorach amerykańskich. Jak w obecnem tak w zeszłem stuleciu Amerykanie zakupywali z zamiłowaniem dzieła sztuki dawnej i współczesnej w Europie. Wobec tego, że w drugiej połowie ub.w., międzynarodowemi centrami sztuki były Monachjum i Paryż, zjeżdżali tam Amerykanie, by nabywać obrazy możliwie bezpośrednio od artystów, a już szczególnie od artystów cieszących się wielką sławą. Tym sposobem dostały się do zbiorów amerykańskich liczne obrazy szkoły monachijskiej, lecz przedewszystkiem niezmiernie wartościowe prace francuskie w. XIX, na które z dobrze uzasadnioną zazdrością spogląda niejedno muzeum francuskie, nie wyłączając Luwru. Tym też sposobem dostał się do Ameryki szereg obrazów, wykonanych przez artystów osiadłych zagranicą czasowo, a reprezentujących rozmaite narodowości. Jak wiadomo, do tej kolonji międzynarodowej należeli liczni Polacy. Wśród nich w Monachjum uznanie miłośników sztuki, przybywających z Ameryki, zdobyła sobie przedewszystkiem grupa batalistów z Józefem Brandtem na czele. W Paryżu natomiast, z Polaków szczególną sławą cieszył się Chełmoński, który po studjach u Wojciecha Gersona w Warszawie i po dwuletnim pobycie w Monachjum, jako 26-letni młodzieniec przyjechał do Paryża w r. 1875 i pozostał tam przez 14 lat.

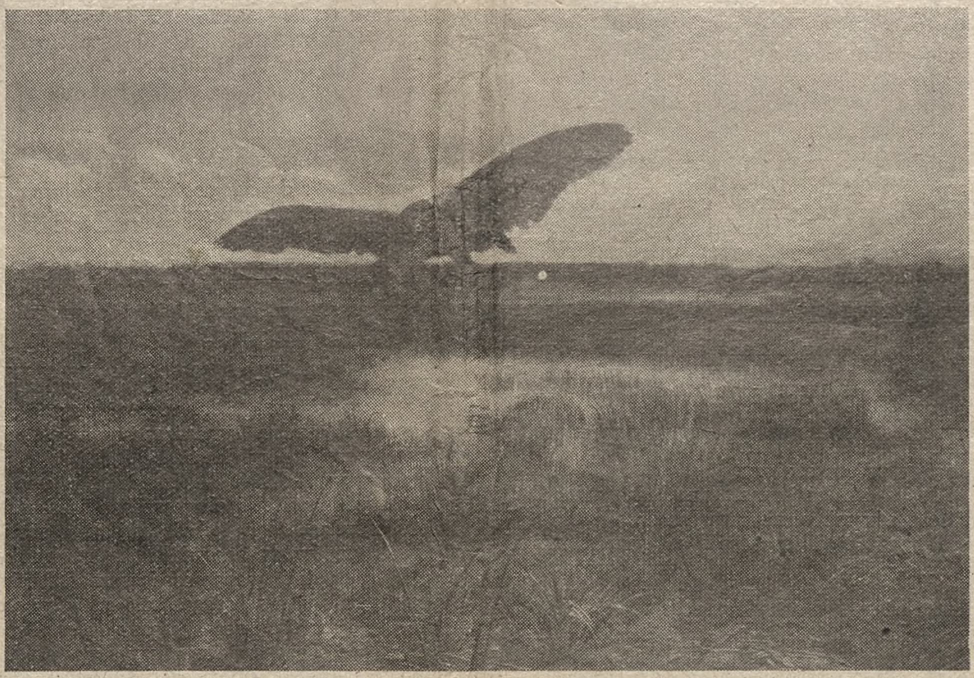

ze zbiorów Maksymiljana Węgrzynka w Forest Hills, N.Y.

BĄK OPUSZCZAJĄCY SIĘ NA MOKRADŁA (1892)

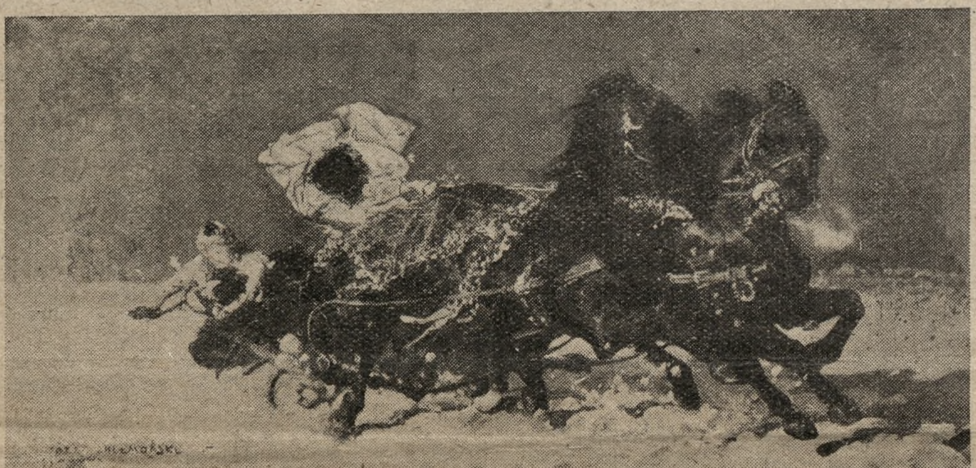

ze zbiorów Ralfa Modjeskiego

SANIE Z DAMĄ (1873)

Chełmoński przybył do Paryża jako dojrzały artysta. Miał już w swoim dorobku szereg pierwszorzędnych płócien, przedewszystkiem dwa, należące do najcelniejszych jego dzieł, ukończone w Warszawie w r. 1875 tuż przed wyjazdem. Jedno z nich, znane p.n. „Babie lato“, z leżącą na łące, tryskającą życiem dziewczyną wiejską, jest własnością Muzeum Narodowego w Warszawie, drugie, zatytułowane „Na folwarku“, z grupą ludzi oglądających konia, należy do Muzeum Narodowego w Krakowie. Oba stanowią szczyt twórczości artysty w jego okresie poświęconym odtwarzaniu życia i ruchu. Przed datą ich wykonania styl jego dopiero się krystalizował, po tej dacie począł się powtarzać w niezliczonych odmianach, nie zmieniając swego zasadniczego charakteru w ciągu całego pobytu artysty w Paryżu.

Chełmońskiego bowiem ogarnęła we Francji niczem niezaspokojona tęsknota za krajem. Począł odnowa przeżywać to co w kraju widział i co go tam zachwycało, a zamknął się dla wszystkich wrażeń nowych i bezpośrednich. Źródłem niewyczerpanego natchnienia dla lat paryskich stały się nadewszystko jego dawniejsze wyjazdy wakacyjne na Ukrainę w latach 1870–1875. Jarmarki, polowania, konie, jego słynne rozszalałe „trójki“ i „czwórki“, typy szlachty kresowej i chłopów, szerokie drogi zasypane śniegiem lub roztopione w błocie, wszystko to powtarza się w jego pracach po wielekroć razy, lecz — przez liczne lata — wciąż nowe i żywe, bo wydobyte z przeżywającej to wszystko jak na jawie duszy artysty. O pracach Chełmońskiego z czasów paryskich pisze z żalem Eligjusz Niewiadomski, autor cennej książki „Malarstwo polskie XIX i XX wieku“ (1926): „Obrazy jego są rozchwytywane przez bogatych cudzoziemców, głównie Amerykanów. Większość bezcennych dzieł wywędrowała za ocean“. Jak swego czasu ceniono Chełmońskiego w Stanach Zjednoczonych, świadczy m. in. i to, że w r. 1894 na międzynarodowej wystawie w San Francisco przyznano mu złoty medal.

Jednakowoż niedługo potem zapomniano tu o nim, a prace jego — z jednym wyjątkiem — znajdowały się ukryte po niedostępnych zbiorach prywatnych omal że kilkadziesiąt lat. Dzięki rozmaitym okolicznościom poczynają one powoli wydostawać się najaw. Największe zasługi położył tu, wydawca nowojorskiego „Nowego Świata“, p. Maksymiljan Węgrzynek z Forest Hills, który dzięki usilnym staraniom i poszukiwaniom zgromadził pięć płócien artysty. O tej kolekcji p. Węgrzynka z zachwytem pisał Antoni Słonimski w jednym ze swoich „Listów z Ameryki“, wydrukowanym p.t. „Powrót i Chełmoński“ w „Wiadomościach Literackich“ z dn. 1 marca 1936 r. Niezależnie od obrazów Chełmońskiego w zbiorach p. Węgrzynka, dwa płótna tego artysty znajdują się w muzeach amerykańskich, dokąd przedostały się drogą zapisu, a jedno wypłynęło z zapomnienia niedawno temu, z okazji starań, czynionych przez wdowę po wybitnym inżynierze Ralfie Modjeskim, aby znaleźć nabywcę na zbiory odziedziczone po Helenie Modrzejewskiej.

Ten to obraz ze zbiorów Ralfa Modjeskiego jest najwcześniejszą ze znanych mi dotąd prac Chełmońskiego w Ameryce: pod niejednym względem może najbardziej interesującą. Obraz ogromnych rozmiarów, przedstawiający „Sanie z damą“, sygnowany przez artystę, podaje datę i miejsce powstania: „1873 w Monachjum“. Przenosi więc nas w lata, które artysta spędził w sferze wpływów Brandta. Należy też przypuścić, że w zasadzie zamiłowanie do malowania koni w gwałtownym biegu przejął Chełmoński właśnie od tego wielkiego batalisty polskiego. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że para ciężkich, ognistych, prawie że heroicznych rumaków, ciągnących sanie, zawdzięcza swe powstanie raczej Piotrowi Michałowskiemu aniżeli Brandtowi. Ciemne zaś, brunatne „sosy“ obrazu wyrażają ogólną tendencję szkoły monachijskiej. Ale tak czy inaczej, ruch rozpędzonych koni jest już typowy dla Chełmońskiego. Identyczne poruszenie ich nóg powtarza się niejednokrotnie w późniejszych pracach artysty — z tą jednak różnicą, że później układ nóg końskich nigdy już nie jest tak zacieniony pryskającym śniegiem i uprzężą, jak to widzimy na tym wczesnym obrazie. Również budowa sań jest na późniejszych obrazach lepiej uwidoczniona. Na płótnie ze zbioru Modjeskiego sań tych prawie że nie widać, a jadąca niemi pani rozmarzona patrzy wbok, nie biorąc psychicznego udziału w szalonej jeździe. Na wszystkich dojrzalszych pracach Chełmońskiego o podobnym temacie, postać siedząca w tyle sań, o ile wychyla się z nich, to zwykle poto, by popatrzeć na konie lub dopilnować woźnicy. Obraz monachijski Chełmońskiego posiada poprostu szereg cech charakterystycznych dla młodzieńczych prac wielu artystów, a więc pewne zależności stylowe, pewne niejasności strukturalne, będące wynikiem tego, że nieistotne szczegóły zaciemniają istotne części rysunku, oraz pewne niekonsekwencje psychiczne. Najważniejszą rzeczą jednak jest to, że w tym mimo wymienionych uchybień prawdziwie pięknym obrazie artysta umiał już całkowicie się wypowiedzieć, że zarówno jego temperament jak pędzel są rozpoznawalne od pierwszego wejrzenia.

Następny co do daty powstania obraz Chełmońskiego w Ameryce znajduje się w Pennsylvania Academy of the Fine Arts w Filadelfji. Zatytułowany jest: „Kresy polskie“ („The Borders of Poland“) i ma napis: „Józef Chełmoński — Paris 1877 — Souvenir d'un voyage en Ukraine“. Rozpędzona czwórka siwych koni ciągnie sanie po podmarzniętem błocie. Zdala lekko różowi się świt. Główną uwagę skupił artysta na postaciach koni, wybijających się z całości nie tylko jasną maścią ale i dokładnem wykończeniem. Kontrastują one silnie z ciemnemi postaciami szlachcica i chłopca w saniach. Kompozycja obrazu zbudowana jest starannie wzdłuż przekątni, tło zaś krajobrazowe, utrzymane w tonach ściszonych, potraktowano raczej szkicowo. Płótno to stanowiło niegdyś własność H. C. Gibsona, wiceprezesa Pensylwańskiej Akademji Sztuk Pięknych, zmarłego w r. 1890. W r. 1896 obraz Chełmońskiego przekazano Akademji wraz z olbrzymim cennym zbiorem zmarłego miłośnika sztuki.

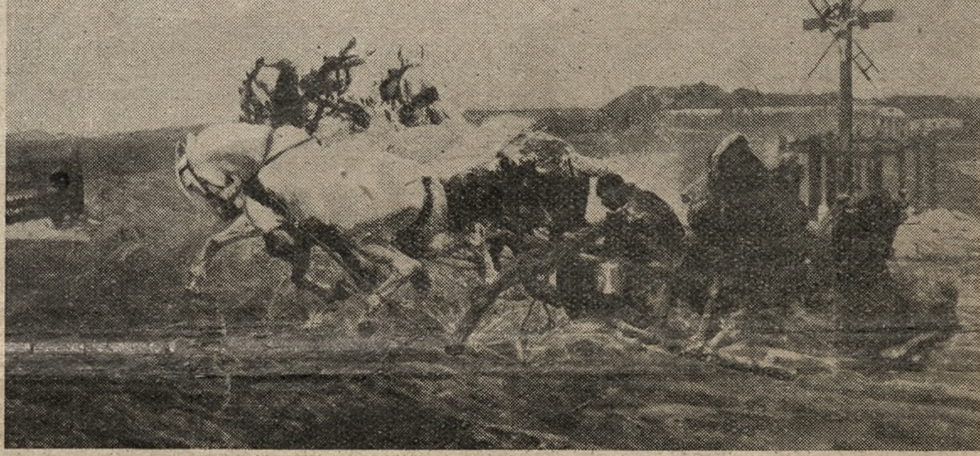

Pennsylvania Academy of the Fine Arts w Filadelfji

KRESY POLSKIE (1877)

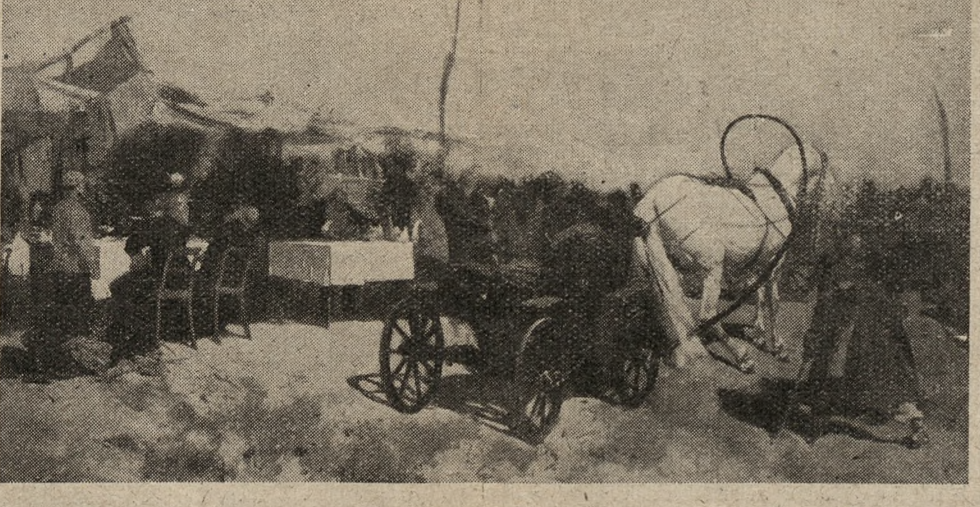

ze zbiorów Maksymiljana Węgrzynka w Forest Hills, N.Y.

JARMARK (1882)

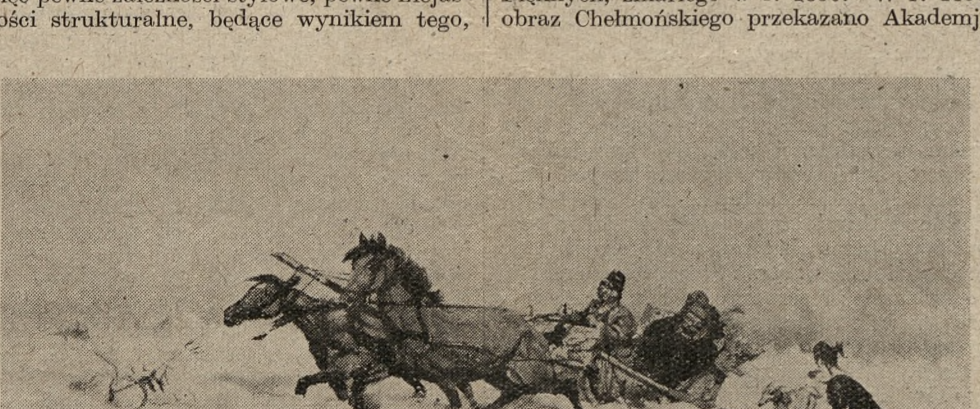

ze zbiorów Newark Museum, N.Y.

ŚNIEŻYCA (1882)

Późniejsza o rok od „Kresów polskich“ jest inna scena z Ukrainy, datowana i sygnowana, znajdująca się obecnie w zbiorach p. Węgrzynka. Cztery rozhukane konie w zaprzęgu zakręciły gwałtownie na środku wsi, o mało co nie wywróciwszy bryczki. Obraz ten, reprodukowany swego czasu w „Wiadomościach Literackich“, jest najmniej starannie wykonany ze wszystkich znanych mi w Ameryce prac Chełmońskiego, budzi mianowicie szereg zastrzeżeń zarówno co do rysunku jak i kompozycji. Natomiast następne co do daty powstania trzy obrazy w zbiorach p. Węgrzynka, również reprodukowane w „Wiadomościach Literackich“, wznoszą się znów na zwykły poziom prac artysty i dorównywają, choć nie rozmiarami ale artystycznie, słynnej „Czwórce“ z Muzeum Narodowego w Krakowie (1881). Ze wspomnianych powyżej trzech obrazów w zbiorach p. Węgrzynka, pierwszy datowany jest 1880: koń, zaprzężony do sań sunących po głębokim śniegu, pędzi wprost na widza. Z r. 1882 pochodzi zarówno szczególnie piękny „Jarmark“ jak i obraz przedstawiający czwórkę koni ciągnących z trudem bryczkę po pryskającem błocie i kamieniach.

W tym samym roku powstał także niewielki obraz znajdujący się obecnie w Newark Museum w stanie New Jersey. Widzimy na nim zabłąkane wśród śnieżycy sanie: zaniepokojonych woźnicę i pana, zmęczone konie i charty szukające drogi. Ze wszystkich prac Chełmońskiego znajdujących się w Ameryce w tym jedynie obrazie dopatrzeć się można wyraźniejszych oddźwięków szkoły Brandta. Obraz w Newarku, nazwany „Snow Scene“, darowały muzeum w r. 1927, wraz z całym zbiorem dzieł sztuki, Mrs. Charles Bradley i Mrs. J. O. H. Pitney z Morristown New Jersey, które ze swej strony odziedziczyły ten obraz po rodzinie Valentine z Newarku.

Ostatnie płótno Chełmońskiego, znane mi w Ameryce, nabyte przez Węgrzynka zaledwie kilka lat temu, pochodzi z r. 1892 i przenosi nas w zupełnie inną epokę działalności artysty. W r. 1889 bowiem powraca Chełmoński do kraju, osiada w odludnej wsi na Mazowszu i w zupełności zmienia swój styl malowania. Odtąd jedynym prawie motywem jego dzieł staje się krajobraz polski, zlewający się z uzupełniającym go ludem wiejskim w jednolitą całość. Znikają rozbiegane konie, znika ruch i pełen energji pan i parobek. W tej drugiej epoce swej twórczości umiłował artysta ciszę i samotność, które pozwoliły mu odkryć wielki a utajony urok pełnego prostoty krajobrazu mazowieckiego. Jak jedynie najwięksi w dziejach sztuki, 40-letni Chełmoński umiał zerwać z własnym stylem, gdy tylko zorjentował się że wpadł w manierę, i przeszedł do nowego etapu twórczego w wieku, w którym wielu artystów ostatecznie się załamuje. Zmiana, jaka nastąpiła w twórczości Chełmońskiego, jest przytem charakterystyczna wogóle dla zmian, jakie zachodzą w stylu artystów, którzy, jak on, odradzają się w połowie swego życia. Jak zwykle w takich wypadkach, uwaga Chełmońskiego przeszła od tematów, poświęconych życiu czynnemu, do tematów oddanych życiu kontemplacyjnemu, a w dziedzinie formy: od zagadnień rysunku do zagadnień barwy i światła. Takie przełomy w życiu artystycznem jednostek bywają jakby miniaturowem powtórzeniem ewolucyj artystycznych, dokonywających się niekiedy w ciągu stuleci w życiu całych narodów.

Obrazy Chełmońskiego z tej jego drugiej epoki twórczej poczęły w ostatnich latach zjednywać sobie w Polsce odnowa uznanie wśród tych malarzy, którzy przez kilkanaście lat odmawiali utworom Chełmońskiego prawdziwych wartości malarskich. Jedynie grupa artystów, nie uznająca żadnej szkoły malarskiej poza paryską, nie przekonała się dotychczas do twórczości Chełmońskiego. Mam tu na myśli między innymi Józefa Czapskiego i Henryka Gotliba. Pierwszy wypowiedział ujemny sąd o Chełmońskim w swym pięknym tomie poświęconym Józefowi Pankiewiczowi (Warszawa 1936), drugi — w swej wartościowej skądinąd syntezie malarstwa polskiego „Polish Painting“ (Londyn 1942). Niezrozumienie tych dwóch artystów dla Chełmońskiego tłumaczy się ich wybitnie subjektywnem nastawieniem wobec spraw sztuki, typowem zresztą dla wszystkich malarzy dużej miary.

Płótno Chełmońskiego w zbiorach p. Węgrzynka jest jednem z pierwszych, jakie powstały w nowej epoce artysty, i należy bez wątpienia do jego najdoskonalszych utworów wogóle. Szczególnie dużych rozmiarów, przedstawia ono bąka spuszczającego się na moczary. Niewysłowiona poezja wieje z tego obrazu. W posiadaniu p. Węgrzynka znajduje się również akwaforta wykonana według tego obrazu w r. 1893 przez wybitnego sztycharza polskiego, Feliksa Jasińskiego, którego, jak często u nas, zbyt mało docenianą działalność artystyczną odtworzył Leopold Wellisz w swej pracy francuskiej (Paryż 1934). Wreszcie w zbiorach dr. Wachtla z Filadelfji, obecnie darowanych Muzeum Zjednoczenia Polsko-Rzymsko-Katolickiego w Chicago, znajduje się drzeworyt reprodukujący omawiany obraz a wykonany przez Józefa Holewińskiego.

Gdy Chełmoński po długoletnim pobycie zagranicą, zmęczony sukcesami i nieodłącznie z niemi związanemi intrygami życia wielkomiejskiego, osiadł w wiosce polskiej i począł szukać ukojenia w przyrodzie kraju rodzinnego, przypomniały mu się niewątpliwie pierwsze lata jego pracy artystycznej. Przypomniały mu się wycieczki poza miasto, „na pejzaż“, z ukochanym przez młodzież malarską prof. Gersonem. Odżyły w jego pamięci świeże, wiosenne, jasnozielone akwarele mistrza. Ponowne zetknięcie się z krajobrazem polskim, wspomnienia szczęśliwych chwil młodości uczyniły to czego nie potrafiły dokonać w Paryżu liczne bojowe wystawy impresjonistów francuskich — otworzyły mu oczy na kolor. I Chełmoński począł tworzyć równie proste, szczere, liryczne, czyste w kolorze krajobrazy polskie jak Gerson, lecz już nie ubocznie i od święta jedynie, jak tamten, i już nie szkicowo. Przeciwnie, Chełmoński twórczością swej drugiej epoki rozwojowej postawił krajobraz polski na uprzywilejowanem miejscu w dziedzinie malarstwa polskiego, pchnąwszy tem samem zdecydowanie sztukę polską, dotychczas tkwiącą w t.zw. malarstwie tematowem, na nowe tory.

W zbiorach amerykańskich znajdują się zapewne jeszcze liczne inne dzieła Chełmońskiego. Może z biegiem czasu, drogą darów lub kupna przechodząc ze zbiorów prywatnych do publicznych, albo z rąk amerykańskich do polskich, i one wypłyną z ukrycia.

IRENA PIOTROWSKA.

ON EVERY WOMAN'S LIPS
Jean Claude
BEAUTY AIDS
THE PERFECTION OF REFINEMENT AND ELEGANCE

NA USTACH KAŻDEJ KOBIETY
JEAN CLAUDE
(*wymawiać „Dżin Klod“*)
Ten wytworny kosmetyk, na który czekały niecierpliwie wszystkie panie, można nabyć w każdej dobrej firmie.
COSMETIC DISTRIBUTORS LTD.
Regent Street, LONDON, W.1

8 GRUCZOŁÓW
decyduje o twoim losie

[obecnie zaś możesz regenerować gruczoły]

NAUKA WSPÓŁCZESNA dotarła do źródła życia ludzkiego — do gruczołów. Poprzez odradzanie gruczołów otwierają się nowe horyzonty we wszystkich kierunkach twórczości ludzkiej. Oto proste fakty. Wszystkie twoje działania oraz właściwości fizyczne i umysłowe, twój wzrost, waga i temperament, zależne są od twych t.zw. ENDOKRYNALNYCH gruczołów, czyli gruczołów WEWNĘTRZNEGO WYDZIELANIA. Gruczoły te mają nie tylko swe funkcje niezależne, ale działają ponadto jako cały układ. Wydzieliny ich, krążąc razem z obiegiem krwi, rządzą wszystkiemi objawami twej energji — umysłowej, fizycznej, nerwowej i płciowej.

Człowiek ma tyle lat ile jego gruczoły . . . Od mocy i równowagi tego wydzielania zależy twoja siła. Sprawność twoja osiąga najwyższy poziom tylko wtedy, gdy gruczoły twe funkcjonują właściwie. Słabość jest w tym samym stopniu wynikiem braku równowagi jak niedostatecznego wydzielania. Lecz i to tamto może być uleczone zapomocą hormonoterapji.

Cierpisz na przedwczesne starzenie się? Na utratę energji i żywotności, słabość, zmęczenie, bezsenność, brak apetytu, bóle ogólne? Wzrok twój się psuje, łysiejesz? Stwierdzasz u siebie neurastenję, wyczerpanie umysłowe, nerwowe zaburzenia trawienia, częściowy lub całkowity zanik sił męskich? Wszystkie te stany są objawami niedostatku lub braku równowagi, które mogą być leczone tylko przez twoje gruczoły.

HORMONOTERAPJA jest nauką o odmładzaniu przez odradzanie gruczołów. Działa w sposób odwrotny niż lekarstwa — odbudowuje nanowo, zamiast tylko podniecać energję życiową. Dociera do samego sedna niedomagań umysłowych, nerwowych i płciowych. Dowiedzione jest, że **przywraca pełnię energji, utraconą skutkiem choroby, wieku, a nawet chronicznego osłabienia.**

Brytyjskie Wytwory Gruczołowe

Do „British Glandular Products Limited“, (P.W.N.) 934
35, Albermarle Street, London, W.1.

Proszę nadesłać mi broszurę Panów „Istota życia“ (załączam znaczki pocztowe na 3d.) lub też proszę nadesłać mi 100 tabletek marki „TESTRONES“ (męskie), albo 100 tabletek marki „OVERONES“ (żeńskie), na co załączam 10s. Prosimy o wykreślenie słów niepotrzebnych.

NAZWISKO ....

ADRES ....

....

GOSPODA POLSKA
właściciel St. Jóźwiak
449, Oxford Street, W.1
(naprzeciw Selfridge'a)
WYBORNA POLSKA KUCHNIA

Sprzedajemy
MASZYNY DO PISANIA
z polskiemi literami
Naprawiamy tanio, szybko i dobrze, kupujemy, zamieniamy i wynajmujemy.
AJAX TYPEWRITER CO.
12, Hampstead Road, N.W.1 naprzeciwko kol. podz. Warren Street. tel.: EUSton 2774

Komitet Zarządzający OGNISKA POLSKIEGO podaje do wiadomości, że urządza w każdą sobotę o godz. 18.30 w budynku OGNISKA przy Belgrave Square, 45, London, S.W.1, wieczorki dla wojska, lotnictwa i marynarki. Na wieczór składają się: część muzyczna, wspólna kolacja i zebranie towarzyskie.

Na wieczory te zarząd Ogniska Polskiego zaprasza wszystkich żołnierzy, lotników, marynarzy i ich przyjaciół. Wstęp bezpłatny.

POLKI ODWIEDZAJĄ SALON FRYZJERSKI
LUIGI, 46, Buckingham Palace Rd., S.W.1
Mówi się po angielsku, francusku, włosku i niemiecku
Prosimy o zapowiedź telefoniczną pod VICtoria 9508

RESTAURACJA ROSYJSKA
„TROJKA“
Wyborne potrawy rosyjskie i polskie
Obiady i à la carte po cenach umiarkowanych
Kuchnia domowa, specjalności: barszcz, gołąbki pierożki, i t.d.
3, Denman Street, Piccadilly Circus

W. B. HENDERSON
(dawny współpracownik firmy Teague Ltd.)
pierwszorzędny krawiec wojskowy (również dla oficerów marynarki) i cywilny (także dla pań)
90, Jermyn Street, London, S.W.1, tel. ABBey 3289
5 minut od Strattonu

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

BEZ ARTYKUŁU WSTĘPNEGO

Jest taka stara, zapomniana komedja, a raczej krotochwila Jordana p.t. „Myszy bez kota“. Przedstawia ona rozprzężenie dworu, którego dziedzic wyjechał. Wszystko idzie nabakier, kuleje, rozlatuje się, do głosu dochodzi służba, która pije, nic nie robi, rozwala się po kanapach, plotkuje, swarzy się. Musi dopiero ktoś przyjść i wziąć sprawę za łeb.

Lecz Stratton wystawia obecnie krotochwilę, a raczej farsę, której w żaden sposób zatytułować nie można „Myszy bez kota“. Przeciwnie. Kot jest. Robota ustała, i nawet przez mikroskop dojrzeć nie można śladu jakiejś pracy, chyba że pracą nazwiemy bezmyślne przerzucanie ludzi z miejsca na miejsce. Symbolem tego bezhołowia, symbolem znamiennym, choć wcale nie jedynym, jest to co widzimy w „Dzienniku Polskim“. Urzędowy ten organ poprostu obywa się bez artykułu wstępnego. Ograniczając się do informacyj, do sprawozdań z prasy, do recenzyj dworskich, do sieczki mów, do głupstw, wstrzymuje się od wygłaszania sądu. Nie stać go na zdanie własne czy rządowe w jakiejkolwiek materji. To nie dziennik, ale jakiś wyciąg anonimowy, nie podpisany przez nikogo, bo też, aby podpisać, trzeba mieć trochę odwagi, trzeba wiedzieć, co się podpisuje, i trzeba mieć coś do podpisania.

Nie chcę rozwodzić się nad dymisją dotychczasowego redaktora „Dziennika Polskiego“. To pewna, że udzielono jej w sposób oddawna przyjęty: najpierw dymisja a dopiero potem rozpaczliwe poszukiwanie następcy, któryby odpowiadał warunkom, t.zn. był człowiekiem także jak najmniej wybitnym i o ile możności najbardziej pozbawionym własnego zdania. To samo odgrywa się obecnie na gruncie Polskiego Radja, które zresztą nigdy nie miało aspiracyj do wygłaszania artykułów wstępnych. Może to i lepiej. Gorzej natomiast, że te artykuły w radjo naszem zastępowano przemówieniami ludzi, którzy nic nie mają do powiedzenia i których nazwiska nic nie powiedzą słuchaczowi tutejszemu a tem bardziej słuchaczowi w Kraju. Pod względem doboru mówców radjo nasze osiągnęło doprawdy rekord nicości.

Niemniej brak artykułu wstępnego w organie urzędowym jest symbolem jeszcze bardziej charakterystycznym. Dowodzi on, że nie tylko sam „Dziennik Polski“ nie ma zdania, ale że nie ma zdania w żadnej sprawie organ, stojący nad nim, zatem ministerstwo informacji i dokumentacji. Brak artykułu wstępnego obnaża beznadziejną, rozpaczliwą próżnię, w związku z czem wypadałoby sprostować pewne błędne mniemania na temat celu i sensu ministerstwa informacji. Nie idzie o to, aby sam minister, na własny i prywatny czy semipartyjny użytek wiedział, co dzieje się w innych ministerstwach, w wojsku, w przedpokojach ambasad naszych i konsulatów, co ludzie mówią po kawiarniach czy zgoła kuchniach. Rzecz w tem, aby wiedział, co dzieje się na szerokim świecie, jakie prądy nurtują ten szeroki świat, jakie programy dochodzą do głosu, jak kształtuje się przyszłość sprawy polskiej, czego dla nas czy od nas chcą obcy i czego chcemy sami. Oczywiście, jest to mniej niż połowa zadania, sprawa bowiem ważniejsza, jak zużytkować informacje, jak dotrzeć z niemi do obcych i do swoich, jak zwalczać opinje wrogie, jak szukać przyjaciół, jak radzić sobie z dywersją, która szerzy się w pewnych kołach.

W czasie, gdy polski organ urzędowy zadowala się stanowiskiem mniej lub więcej objektywnego a nie zawsze bystrego magazyniera, zbierającego bez ładu i składu wycinki prasowe, konkurencja działa coraz lepiej i sprawniej. Wślad za wydawanemi po angielsku broszurami, które zręczni kolporterzy rozrzucają po fabrykach, organizując przeciw nam drugi front i zarzucając rządowi polskiemu otwarcie zdradę i współdziałanie z Hitlerem, wślad za temi broszurami pojawiają się inne, drukowane już po polsku a napewno nie przez Polaków, ale z dopiskiem „Passed by Censor“. Ulotka „Polska a Z.S.R.R. Fakty i dokumenty“, dowodzi, jak dalece aktywna jest ta dywersja, uprawiana śmiało i jawnie, a nie napotykająca na żaden opór z naszej strony.

Byłoby grubą niesprawiedliwością utrzymywać, że tylko „Dziennik Polski“, że tylko ministerstwo informacji i dokumentacji nie może zdobyć się na artykuł wstępny, na jakieś credo a przedewszystkiem na jakieś „volo“. Ten sam rażący brak programu, zdania, wiary i woli występuje w ministerstwie spraw zagranicznych, które cierpi na kompleks niższości, które boi się własnego cienia, które zapuszcza się w dyskusję na temat „drażniących“ artykułów, drukowanych przez pewne polskie pisma prywatne, choć dyskusję taką można i trzeba uciąć w kilku słowach. Bo i cóż jest bardziej „drażniące“: czy chęć zagarnięcia połowy Polski, odebranie obywatelstwa polskiego setkom tysięcy wywiezionych Polaków, tajemnica zgonu ofiar katyńskich, skazanie na powolną śmierć tylu pozostałych w Rosji dzieci, kobiet, więźniów, zarzut współdziałania z Hitlerem, czy też artykuły kilku pism polskich, choćby zawierały rzeczy tak okropne, jak nieprzychylna recenzja z książki o teatrze sowieckim? A jeśli te artykuły są w istocie „drażniące“, stanowią one doprawdy jedyny wyraz protestu i naszej woli do życia. Innego wyrazu niema. Gdy niedawno stowarzyszenia i związki polskie pragnęły wystąpić z protestem w sprawie doli naszych dzieci i Polaków, pozostałych w Rosji, ministerstwo spraw zagranicznych oświadczyło, że nie należy drażnić... Oto cały program, oto artykuł zasadniczy i wstępny zarazem: nie drażnić!

Ale także inne ministerstwa nie potrafią zdobyć się na artykuł wstępny. Czy słyszymy o jakimś programie społecznym lub gospodarczym, czy którekolwiek z ministerstw dotknęło np. sprawy mniejszości w Polsce? Poza kompromitującą a naiwną broszurką, którą wydało na świat ministerstwo przemysłu, proponując upaństwowienie kopalń, surowców, fabryk, środków transportowych, wywłaszczenie majątków ziemskich i leśnych, kontrolę nawet drobnych warsztatów pracy i t.d. — otóż poza tą skandaliczną broszurką, nie ukazało się nic, coby świadczyło o programie, o idei, o tem, że Polska chce pójść w życie nowe, które jednak niekoniecznie ma być tak faszystowskie, tak totalistyczne, jak to sobie wyobraża minister-socjalista.

Doświadczenie z Czechami oduczyło nas na dość długo flirtu z takim partnerem, jak oni. Trzeba obejrzeć się za innym, budzącym zaufanie. W każdym razie nie zaszkodzi poszukać. Może Ukraińcy dojrzeli do rozmów, może Litwini, doznawszy dobrodziejstw obu okupacyj, zmiękli? Ale i tu znowu, tak samo, jak przy innych punktach, występuje brak artykułu wstępnego. Świat kłębi się, drga w jakichś bólach porodowych, w jakichś zrywach, zwiastujących zmiany głębokie, sięgające do dna samego, my zaś idziemy z zawiązanemi oczami, nie widząc i nie słysząc. Zresztą niewiadomo, czy idziemy, raczej bowiem stoimy.

Ale im bardziej rząd nasz działa w próżni i w sferze wyobraźni, tem bardziej natrętnie, tem bardziej dokuczliwie etatyzm stara się wedrzeć we wszystkie dziedziny tego pseudożycia, jakie tu wiedziemy. Nikt nie spodziewa się, nikt nie ma najmniejszej pretensji np. do ministerstwa oświecenia, by wystąpiło ono z jakimś programem, z artykułem wstępnym, wiadomo bowiem, że wedle stawu grobla, jednakże choćby się chciało nie widzieć wogóle tego ministerstwa, czy też patrzeć na nie przez palce, przecież ma ono momenty wręcz rewolucjonizujące: gdy niedawno miało powstać t.zw. koło rodzicielskie przy państwowem liceum i gimnazjum im. Marji Skłodowskiej-Curie, ministerstwo zgodziło się na powstanie tej organizacji pod warunkiem, że dyrektor gimnazjum będzie miał prawo zawiesić każdą uchwałę walnego zgromadzenia rodziców... Byłoby rzeczą zrozumiałą, gdyby po takiem oświadczeniu ministerstwa liczba uczenic stopniała do minimum, albo nawet gdyby zaszła konieczność zlikwidowania szkół polskich w Wielkiej Brytanji spowodu braku uczniów.

Artykuł wstępny... Powiedzmy sobie, że „Pierwsza brygada“, którą kazał zagrać orkiestrze gen. Sikorski podczas pobytu na Wschodzie, sama przez się nie stanowi jeszcze artykułu wstępnego oraz nie jest programem na przyszłość, bo przyszłość musi pójść dalej i musi pójść inną, własną drogą, w każdym jednak razie jest to gest o sporem, choć doraźnem znaczeniu: oznacza może dobrą wolę zlikwidowania tarć, jakże niepotrzebnie wywoływanych przez ludzi, którzy potępiając w czambuł całą naszą dwudziestoletnią przeszłość, sami nie potrafili na żadnem polu dorównać talentem, inteligencją, charakterem i innemi wartościami, czynnikom, odpowiedzialnym zarówno przed majem jak po maju 1926 r.

Po wielu zabiegach, po wielu tarciach pewien dywizjon lotnictwa polskiego uzyskał prawo, by zwać się dywizjonem Piłsudskiego. Po wielu niepotrzebnych konfliktach, po wielu kłopotach i swarach, orkiestra wojskowa zagrała oficjalnie a nie konspiracyjnie „Pierwszą brygadę“. Lepiej późno niż nigdy. Ale stało się to daleko od Londynu, w którym po dawnemu likwiduje się pewne wartościowe jednostki „sanacyjne“, korzystając równocześnie z pracy innych jednostek „sanacyjnych“, lecz mniej czy też całkowicie niewartościowych. Wogóle odbywa się jakby licytacja w dół, szukanie ze świecą w ręce ludzi, którzy jak najmniej umieją, oraz przedewszystkiem takich, którzy w żadnym wypadku nie powiedzą: „Nie!“.

W atmosferze życia z dnia na dzień, w zamęcie ustawicznej „reorganizacji“, w gorączce zmian personalnych, grożących każdemu urzędnikowi i każdej urzędniczce, wegetuje ministerstwo a raczej przychodnia informacji i dokumentacji. Stratton stał się dosłownie Stradomiem, czyli ghettem, mianowicie polskiem ghettem, z którego nic nie wychodzi na zewnątrz i którego bram nic nie jest w stanie przekroczyć. A czas płynie! A czas pędzi! Zmarnowanych doszczętnie zgórą dwóch miesięcy nikt już nadrobić nie potrafi. Z hukiem zaczętą akcję w sprawie grobów katyńskich porzucono nawet nie w połowie ale na początku drogi, odstępując całkowitą inicjatywę stronie przeciwnej, która nie marnuje ani jednego dnia. Pocóż było zaczynać akcję, skoro nie było woli do jej kontynuowania? Jeśli się powiedziało *a*, trzeba co najmniej powiedzieć *b*.

W fakcie, że skrzynka przedruków, zwana „Dziennikiem Polskim“, nie może zdobyć się na ocenę sytuacji, na skonstruowanie sądu, na wyraz polskiej racji stanu, polskiego honoru, należy dopatrywać się przedewszystkiem braku wszelkiej idei pośród kół, odpowiedzialnych za ten stan rzeczy. Ideę zastępują personalja, czystki, dokonywane w tempie oszołamiająco szybkiem, i zmiany, dokonywane w tempie żółwiem. Reorganizacja a raczej zabawa w reorganizację trwa od niemal trzech miesięcy, w ciągu których ministerstwo nie potrafiło zdobyć się ani na jeden krok pozytywny, chyba że krokiem pozytywnym nazwiemy akcję, polegającą na drażnieniu najbardziej aktywnych ośrodków polonji amerykańskiej. Tej polonji, której pomocy i współpracy tak bardzo potrzebujemy. Niestety, minister wojny domowej postanowił przerzucić wojnę także na drugą półkulę.

To był właściwie jego artykuł wstępny.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.

KSIĘGARNIE POLSKIE

M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

LONDON, W.C.1: 9, New Oxford St. (tel. HOLborn 0868)
EDINBURGH: 31a, Castle St. (tel. 24705)

posiadają na składzie m.in. następujące wydawnictwa:

w języku polskim

IGNACY CHRZANOWSKI — Historja literatury niepodległej Polski	10s. 0d.
MARJAN HEMAR — Adolf Wielki	2s. 6d.
ADAM KOWALSKI — Kierunek: Wisła! (wiersze i pieśni 1939–1942)	4s. 6d.
JERZY KUNCEWICZ — Na nowych drogach	2s. 0d.
JAN KWAPIŃSKI — Organizacja bojowa — Katorga — Rewolucja rosyjska	3s. 6d.
STANISŁAW MACKIEWICZ — Klucz do Piłsudskiego	10s. 6d.
LUDWIK SCHWEIZER — Wojna bez legendy	8s. 6d.
HENRYK SIENKIEWICZ — Potop, t. VI	4s. 6d.
STEFAN THEMERSON — Przygody Marceljanka Majster Klepki (książka dla dzieci)	7s. 0d.
ROMAN UMIASTOWSKI — Bitwa polska, zeszyt 4-y	4s. 0d.
KONSTANTY WOJCIECHOWSKI — Dzieje literatury polskiej	12s. 6d.
Ekonomista Polski, nr. 5	3s. 6d.

w języku angielskim

Europe in Bondage—Reports of the London International Assembly, edited by *John Armitage*	6s. 0d.
Poor Man's Miracle, by *Marjan Hemar*	4s. 6d.
Polish Folk Dances, by *Irena Łukasiewicz*	10s. 6d.
O.R.P. Garland in Convoy to Russia, by *Bohdan Pawłowicz*	2s. 6d.
How to Save Germany, by *Adam Pragier*	2s. 6d.
Nicholas Copernicus 1473–1543, by *dr. Józef Rudnicki*	10s. 0d.
Nazi Rule in Poland, by *Simon Segal*	10s. 6d.
Glimpses of Polish Architecture, by *Roman Sołtyński*	6s. 0d.
The Polish Tradition, by *Paul Super*	7s. 6d.
Polish Reader, by *Barbara Wysocka*	6s. 0d.
The Faithful River, by *Stefan Żeromski*	7s. 6d.
Poles in Uniform, sketches by *Alexander Żyw*	12s. 6d.
Fighters in the Land of the Shadow of Death, edited by Polish Publications Committee	0s. 6d.
A Polish Manual for Self-Tuition	5s. 0d.
The Story of Wilno	1s. 0d.

Księgarnie mają na składzie książki polskie i angielskie o Polsce, dzienniki i czasopisma polskie, mapy, atlasy, pocztówki, widokówki, orzełki i t.p.

... A TYMCZASEM
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU
PRZY DŹWIĘKACH PŁYT
DECCA

FLORJAN SOKOŁÓW

PO KONGRESIE LABOUR PARTY

Labour Party reprezentuje najszersze masy demokracji angielskiej, których głos niewątpliwie zaważy na szalach rozstrzygnięć powojennych. Już dwa razy, w r. 1924 i w r. 1929, doszła do władzy. W r. 1929 brakowało jej zaledwie dwudziestu mandatów do absolutnej większości w Izbie Gmin. Wprawdzie poniosła ona wielką klęskę wyborczą w r. 1931 po rozłamie, jaki nastąpił w tem stronnictwie, i utworzeniu przez jej najwybitniejszych leaderów, jak Ramsay Macdonald, Snowden, Thomas, Sankey i t.d. rządu ogólnonarodowego razem z konserwatystami, ale już w cztery lata później znacznie odbudowała swój stan posiadania. W r. 1935 padło na nią przeszło osiem miljonów głosów, nie o wiele mniej niż na konserwatystów. Od tego czasu wpływy jej stale wzrastały, i gdyby nie wybuch wojny, Labour Party miałaby poważne szanse powrotu w r. 1940 do swej dawnej pozycji, jako jedyna poza konserwatystami partja zdolna do objęcia rządów. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nastąpi to po wojnie. Dlatego też stanowisko jej wobec zagadnień przyszłego porządku Europy i świata jest w najwyższym stopniu interesujące, nie tylko z punktu widzenia angielskiego.

62-i kongres Labour Party, czwarty w czasie tej wojny, nie mógł przynieść nic nowego, jeśli chodzi o ogólne sformułowania. Przedstawiciele angielskiego ruchu robotniczego zawsze popierali współpracę międzynarodową, zbiorowe bezpieczeństwo, przeciwstawiali się imperjalizmom, walczyli z faszyzmem, głosili idee sprawiedliwości i pokoju, byli rzecznikami demokratycznego socjalizmu i t.d. W czasie wojny postulaty te podkreślano mocniej, ale w gruncie rzeczy mało czem różnią się one od zasad karty atlantyckiej. Kongres Labour Party zasługuje na uwagę nie ze względu na zasadnicze stanowisko, lecz raczej ze względu na nastroje, których był wyrazem, zwłaszcza w stosunku do dwóch zagadnień najbardziej interesujących, a mianowicie do Niemiec i do komunizmu.

Jakkolwiek nie należy wyciągać zbyt daleko idących wniosków z głosowania nad poprawką do wniosku, który domagał się usunięcia z Labour Party członków jej, należących do grupy „Fight for Freedom“ (zwalczającej legendę o dwóch rodzajach Niemiec: dobrych i złych), wynik głosowania był bardzo symptomatyczny. Poprawkę przyjęto większością 1 803 000 głosów przeciw 720 000. Odgradza się ona od polityki nienawiści i eksterminacji Niemiec, lecz stwierdza, że zaledwie znikoma mniejszość Niemców sprzeciwiała się régime'owi narodowo-socjalistycznemu i że rząd Hitlera nie pozostałby u władzy i nie mógłby prowadzić wojny totalnej bez poparcia olbrzymiej większości narodu niemieckiego. Poprawka ta składa *odpowiedzialność* za okrucieństwa, popełnione przez rządy Hitlera, na *cały naród niemiecki* i podkreśla, że trwały pokój jest niemożliwy, jeśli Niemcy nie zostaną kompletnie rozbrojone zgodnie z art. 8 karty atlantyckiej i jeśli duch napastniczego nacjonalizmu nie zostanie w nich doszczętnie wytępiony. Pozatem poprawka zaleca reedukację Niemiec, „aby mogły one wziąć udział w odbudowie demokratycznego, pokojowego i sprawiedliwego świata.“ Jak widzimy, forma poprawki jest bardzo łagodna. Niemniej jednak fakt, iż utożsamia ona naród niemiecki z rządem niemieckim, czyli staje poniekąd na stanowisku lorda Vansittarta, wywołał burzę protestów ze strony integralnych pacyfistów.

*

Na czem właściwie polega różnica w stosunku do Niemiec pomiędzy mniejszością a większością Labour Party? Napróżno szukalibyśmy jej na płaszczyźnie uczuciowej. Tamci bynajmniej nie są germanofilami, a trudno powiedzieć by ci pałali nienawiścią do Niemiec. Można raczej żywić obawy, że i oni będą się troszczyli, by owym „niewinnym“ Niemcom nie spadł włos z głowy. Tu chodzi o co innego. Integralni pacyfiści zajęli stanowisko doktrynalne w sensie negatywnym, i to właśnie nie odpowiada ani psychice angielskiej, ani ich „common sense“owi. Mniejszość w zasadzie ma rację, twierdząc, że nie można wogóle składać winy za zły rząd na cały naród, natomiast błądzi ona, operując abstrakcją poza czasem i przestrzenią i zamykając oczy na rzeczywistość, w której żyjemy a która daje nam kryterja oceny moralnej. Uchwała kongresu świadczy, że olbrzymia większość angielskiej klasy robotniczej tę rzeczywistość, to prawdziwe, potworne oblicze dzisiejszych Niemiec lepiej sobie uświadamia, niż przed trzema laty. W r. 1940 egzekutywa Labour Party wystosowała do narodu niemieckiego apel, w którym jego odpowiedzialność za zbrodnie Hitlera nie była tak jasno podkreślona. Apel ten brzmiał: „Przeciwni jesteśmy wszelkiej próbie rozbicia Niemiec z zewnątrz. Nie dążymy do poniżenia i rozbioru waszego kraju. Chcielibyśmy całem sercem powitać rychły powrót wasz do współpracy z cywilizowanemi narodami. Musimy jednak stwierdzić, że Hitler i jego régime przygotowali i wywołali tę wojnę. Nie mógłby on rządzić, gdyby nie miał waszego poparcia. Dopóki nie zostanie obalony nikczemny régime narodowych socjalistów, niema nadziei na pokój między nami a wami. Lecz jeśli utworzycie rząd szczerze pragnący, by Niemcy stały się dobrym sąsiadem i dobrym Europejczykiem, nie zaznacie upokorzenia i zemsty“.

Trzy lata wojny, blitz nad Anglją, potworne zbrodnie niemieckie zrobiły swoje. Masy angielskie zrozumiały, że hitleryzm, to nie tylko sprawa „złego rządu“, lecz że jest to choroba, która ogarnęła cały naród i która domaga się bardzo radykalnej kuracji, że Anglja walczy nie tylko z ideologją hitleryzmu i faszyzmu, lecz z żywymi ludźmi, którzy grabią, mordują i popełniają straszliwe barbarzyństwa. Zdrowy rozsądek nie może kierować się w stosunku do nich abstrakcyjnemi tezami.

Rozwiązanie Trzeciej Międzynarodówki nie zmieniło, jak się należało spodziewać, stosunku Labour Party do komunistów angielskich. Kongres odrzucił większością 1 951 000 głosów przeciw 712 000 wniosek w sprawie przyjęcia ich do Labour Party, jako zrzeszonej organizacji. Już od bardzo dawna komuniści zwracali się z podobnemi ofertami, po raz pierwszy w r. 1924, ale każda ich próba utworzenia wspólnego frontu z Labour Party kończyła się dla nich afrontem. Struktura Labour Party jest tego rodzaju, że w skład jej mogą wchodzić różne grupy socjalistyczne en bloc. Obok trade-unionów i komitetów partyjnych, należą do niej związki kooperatyw i Fabian Society (mózg tej partji). Dawniej jej jądrem socjalistycznem była Independent Labour Party, która wystąpiła w r. 1932, Socialist League, wskrzeszona przez Crippsa. Przed r. 1918 Labour Party wogóle nie miała indywidualnych członków. Ten federacyjny charakter partji, której zadaniem było w swoim czasie jedynie stworzenie samodzielnej frakcji w parlamencie, wpłynął na różnorodność elementów, z jakich się składała. Korzystając z tego, komuniści pukali do jej bram w nadziei, że znajdą tam i dla siebie miejsce. Ale zawsze spotykali się z odmową. Gdy po raz ostatni usiłowali dostać się do jej wnętrza, postawiono im trzy warunki: 1) zerwanie z Trzecią Międzynarodówką, 2) odrzucenie taktyki rewolucyjnej 3) przyjęcie zasad demokratycznego socjalizmu. Pierwszy warunek przestał być aktualny. Ale gdyby przyjęli dwa następne — przestaliby być komunistami i odrębność ich straciłaby rację bytu. Jasne jest, że nie poto chcieli wstąpić do szeregów Labour Party, by się rozwiązać, lecz poto, by opanować ją od wewnątrz. Obawy, iż staną się właśnie takim koniem trojańskim, są dzisiaj bardziej uzasadnione, niż kiedykolwiek. Toteż nic dziwnego, że kongres odrzucił ich najnowszą ofertę. Nie znaczy to, że w Labour Party niema komunistów. Wchodzą oni do niej pośrednio, przez związki zawodowe, kooperatywy i t.d., ale nie mogą działać na jej terenie jako zorganizowana grupa.

Argument, że należy przyciągnąć taką grupę w imię jedności ruchu robotniczego, wysuwany przez zwolenników połączenia, jest mało przekonywujący, gdyż zamiast jedności wprowadziłaby ona tylko dezorganizację i ferment do bardzo luźnego związku, jakim jest Labour Party. Jako sojusznik przy wyborach do parlamentu, komuniści nie przestawiają większej wartości. Przed wojną była ona minimalna. Mimo wytężonej propagandy i poparcia Trzeciej Międzynarodówki w ciągu przeszło dwudziestu lat, komuniści nigdy nie potrafili uzyskać więcej, niż jeden mandat do Izby Gmin. W ostatnich wyborach padło na nich zaledwie dwadzieścia kilka tysięcy głosów. Jak wiadomo, komunizm nie zapuścił głębszych korzeni w glebie angielskiej. Nie będziemy się tu zastanawiali nad przyczynami tego zjawiska, ale jest ono faktem i bynajmniej nie leży w interesie Labour Party, by ten stan rzeczy zmienić. Wreszcie różnica ideologij i metod pomiędzy socjalizmem angielskim a komunizmem, którą jasno sformułował minister Morrison w swem świetnem przemówieniu na kongresie*), jest tak wielka, że zlanie się ich w jedną całość jest wykluczone. O zgodnej współpracy z dzisiejszymi przywódcami komunizmu angielskiego, którzy nazywali leaderów Labour Party lokajami burżuazji, zdrajcami proletarjatu, socjalfaszystami i t.d. niema mowy. Morrison zastrzegł się przytem, że ujemny stosunek do komunistów angielskich nie wpływa na stosunek do Rosji sowieckiej. To sprawa czysto wewnętrzna.

Mniej zrozumiałe jest odrzucenie przez kongres akcesu nowej radykalnej partji, Common Wealth, która wykazuje wielką żywotność i ma wielu zwolenników wśród inteligencji zawodowej. Ta nieufność Labour Party do wpuszczania obcych elementów stała się widocznie jej tradycją. Gdy w swoim czasie próbowano utworzyć w Anglji wspólny „front ludowy“ lewicy, Labour Party kategorycznie odrzucała tego rodzaju propozycje, twierdząc, że sama jest frontem ludowym i że nie potrzebuje pomocy niepewnych partnerów, którzy sprawią jej więcej kłopotu, niż przyniosą korzyści.

*

Egzekutywa Labour Party przeprowadziła prawie wszystkie swe dezyderaty. Rozejm wyborczy, a ściślej mówiąc polityczne zawieszenie broni na czas wojny, przedłużono bezterminowo. Wprawdzie wielu delegatów ostro krytykowało rząd oraz należących do niego ministrów Labour Party i stałym refrenem dyskusji było: „Wygramy wojnę razem z torysami, lecz zbudujemy pokój przeciw nim“, przyczem domagano się, by natychmiast po zakończeniu wojny Labour Party wystąpiła z rządu, ale na wniosek ministra Attlee kongres odrzucił tego rodzaju wiążącą rezolucję, przyjmując formułę kompromisową by sprawa ta zadecydowana została po zakończeniu wojny z Niemcami przez specjalnie zwołaną w tym celu konferencję. Przyjęto szereg uchwał o charakterze ogólnym w sprawach wewnętrznych, jak reforma samorządów, plan Beveridge'a, wychowanie młodzieży i t.d., oraz w sprawach polityki międzynarodowej, rekonstrukcji powojennej, niesienia pomocy narodom Europy, kolonji, Indyj, w sprawie żydowskiej i t.d. Nie wniosły one wiele nowego do licznych oświadczeń, powtarzanych co rok na kongresach, zarówno przed tą wojną jak i w czasie jej.

Labour Party, jak wynika choćby z jej struktury, nie jest monolitem. W łonie jej ścierają się różne odcienie socjalizmu, reformizmu, pacyfizmu. Jedną z osobliwości angielskiego ruchu robotniczego jest fakt, że t. zw. „doły partyjne“ zazwyczaj są tu mniej radykalne od „szczytów“ intelektualnych. Obca im jest doktryna, nie upajają się frazesami, najbardziej odpowiada im prąd umiarkowany w kierunku stopniowej, lecz bezpośredniej poprawy bytu klasy pracującej, wyższych zarobków, lepszych warunków mieszkaniowych, zabezpieczenia na starość i t.d. Dlatego trade-uniony stanowią tak wielką potęgę w angielskim ruchu robotniczym. Nakładają one hamulce na zapędy co gorętszych leaderów politycznych i intelektualnych. Olbrzymia większość robotników angielskich stoi na gruncie rewolucyjnych reform jako drogi do socjalizmu, liczy się z realnemi warunkami, potępia hasła zorganizowanej nienawiści klasowej i ożywiona jest głębokim patrjotyzmem. Te właśnie trade-uniony — fundament masowy partji — odegrały najważniejszą rolę i na tym kongresie. Siła Labour Party polega również na tem, że posiada ona liczne kadry t. zw. „social workers“ o wysokim poziomie moralnym i kwalifikacjach fachowych, którzy poświęcają się służbie publicznej na polu współdzielczości, oświaty, szpitalnictwa, w samorządach i instytucjach dobroczynnych, dzięki czemu partja zdobyła wielkie wpływy w życiu samorządowem. Socjalizm angielski jest wekslem bezterminowym, ale nie czekiem bez pokrycia.

Zarówno Herbert Morrison jak Arthur Greenwood, dwie czołowe postaci na kongresie, położyli wielkie zasługi w tych właśnie dziedzinach działalności Labour Party. Jednym z najbardziej emocjonujących momentów kongresu było starcie się tych dwóch przywódców w wyborach na skarbnika zarządu, a właściwie na faktycznego leadera partji. Zwyciężył Greenwood, co nie oznacza bynajmniej, że gwiazda Morrisona gaśnie. Mówią, że to on właśnie predestynowany jest na przyszłego premjera Anglji, gdy Labour Party dojdzie do władzy. Greenwood miał podobno większe poparcie maszyny partyjnej, a zwłaszcza kilku potężnych związków zawodowych i wogóle starszego pokolenia Labour Party, którą Morrison miał sobie narazić, popierając młodych na stanowiska partyjne i w wyborze kandydatów do parlamentu. Odmłodzenie partji było jednem z żądań, rozlegających się na kongresie, ale widocznie „starzy“ są jeszcze bardzo mocni.

Jeśli chodzi o stosunek do zagadnień międzynarodowych czysto politycznych, naogół młodsze żywioły zdradzały zawsze większą wrażliwość i temperament niż przywódcy trade-unionów z tej prostej przyczyny, że dla szerokich mas sprawy te były dość obojętne i niewiele o nich wiedziały. To samo może nastąpić i po wojnie, jeśli kierownictwo ruchu będzie dalej pod silnym wpływem ograniczonych w swych zainteresowaniach związków zawodowych.

Należy przypomnieć, że Labour Party była zawsze szermierzem Ligi Narodów. Za jej rządów powstał jedyny konkretny plan wzajemnej pomocy przeciw napastnikom, t. zw. protokół genewski. Labour Party zawsze występowała w obronie uciśnionych narodów i ras, zwalczała konsekwentnie izolacjonizm i egoizm imperjalny. Wzywała do radykalnej rewizji zagadnienia kolonjalnego. Jeśli popełniała błędy po tamtej wojnie, głosząc hasła oderwanego pacyfizmu i rozbrojenia i wiążąc swe nadzieje z wiarą w demokrację niemiecką, błędy te później naprawiła. Przywódcy jej w parlamencie nieustannie atakowali rząd Chamberlaina za „ugłaskiwanie“ dyktatorów, a czynili to znacznie wcześniej, niż wielu innych polityków angielskich (z nielicznemi wyjątkami, w osobie Churchilla i leaderów opozycyjnych liberałów).

Należy również przypomieć, że to przywódca Labour Party, Arthur Greenwood, razem z przywódcą liberałów, Sir Archibaldem Sinclairem, pierwsi wywierali nacisk na rząd w izbie, natychmiast po ataku Hitlera na Polskę, by wypowiedział wojnę Niemcom, wyrażając na posiedzeniu 2 września zdziwienie i niepokój izby, że rząd zwleka, mimo, iż akt napaści niemieckiej nastąpił przed 38 godzinami i że jeden z najbardziej doniosłych traktatów wszedł automatycznie w moc obowiązującą. „Każda chwila zwłoki — rzekł Greenwood — zagraża naszym interesom narodowym, naszemu honorowi“. A nazajutrz, gdy wojna została wypowiedziana przez Anglję, z ust jego padły piękne słowa, które przejdą do historji: „W ciągu pięćdziesięciu czterech godzin — wołał on — Polska stała sama na posterunku u wrót cywilizacji, broniąc tego, o co walczymy i co jest nam drogie. Stała z niezrównaną odwagą, z epickim heroizmem, zanim wahający się przyjaciele postanowili przyjść jej z pomocą. Witamy Polskę jako towarzysza, którego nie opuścimy. Wołamy do niej: „Serca nasze są z tobą, a z sercami naszemi cała nasza moc aż do chwili, kiedy anioł pokoju powróci do nas“.

A gdy wojna się skończy i „anioł pokoju powróci“, jaki będzie stosunek Labour Party do Polski? Stawiam to pytanie nie dlatego, że umiem na nie odpowiedzieć. Przepowiednie na tematy powojenne wkraczają w zakres astrologji politycznej. Chciałbym tylko podkreślić powierzchowność lub zupełną błędność rozpowszechnionego przed tą wojną w Polsce, a później na emigracji poglądu, że lewica angielska była dla Polski zawsze „zła“ a prawica „dobra“, i że na tej prawicy trzeba się oprzeć. (Lord Curzon, projektodawca słynnej linji Curzona, należał właśnie do owej prawicy). Sympatje Labour Party były zawsze z natury rzeczy po stronie krajów, które uważa ona za szczerze demokratyczne. Ostatnie lata rządów w Polsce, a zwłaszcza traktowanie mniejszości narodowych, wytworzyły w kołach Labour Party niekorzystną opinję o Polsce, i to nieprędko minie. Ale to samo można byłoby powiedzieć i o innych stronnictwach angielskich. Zarzucano Labour Party, że popierała rewizjonizm niemiecki i że wierzyła w republikę weimarską. Ale stokroć większy grzech popełnili ci, co popierali Trzecią Rzeszę i wierzyli w Hitlera. Jeśli chodzi o różne koncepcje, wysuwane obecnie, a idące na rękę imperjalizmom naszych sąsiadów kosztem Polski, pochodzą one w znacznie większej mierze z kół, nie mających nic wspólnego z Labour Party.

A jeśli niektórzy z projektodawców należą do jej lewicy intelektualnej, nie znaczy to bynajmniej, że stoi za nimi cały obóz. Najlepszym dowodem tego — nie w sprawie polskiej, lecz w stosunku do Niemiec i komunistów — był ostatni kongres. Jedno można powiedzieć: stanowisko Labour Party jest szczerze ideowe, uczciwe, nie podyktowane interesami i kombinacjami wielkomocarstwowemi, które zawsze kończą się jakąś krzywdą słabszych narodów. Można mieć zaufanie, że w rozstrzygnięciach pokojowych te właśnie żywioły demokratycznego socjalizmu staną będą najmocniej na gruncie karty atlantyckiej.

FLORJAN SOKOŁÓW.

---

*) por. nr. 172 „Wiadomości Polskich“.

NEVERILL OLD SALTS
ŻAŻYJ ŁYŻECZKĘ CODZIENNIE
Znakomita sól alkaliczna, którą najlepiej stosować rano przy niedomaganiach żółciowych, zatwardzeniu, zaburzeniach żołądkowych, w celu pobudzenia działalności wątroby, przeciwko cierpieniom pęcherza i nerek, przy podagrze, reumatyzmie, stanach podgorączkowych, otyłości i t.d. Zażywać codziennie rano. Nie psuje smaku herbaty. Przywraca blask oczom, oczyszcza cerę, daje świetne samopoczucie i radość życia. Szczelne puszki w cenie 4½d., 8½d. oraz 1/4 do nabycia w najbliższej aptece albo pocztą bez doliczenia kosztów przesyłki po tych samych cenach od
SHADFORTH PRESCRIPTION SERVICE LTD.
(Dept. V.P. 626), 63, Grove Road, Bow, London, E.3

CHEZ VICTOR
Restauracja francuska Kuchnia wyborowa
45, Wardour Street, W.1
tel. GERrard 6523
W niedziele zamknięta

SPRZEDAM natychmiast maszynę do pisania „ROYAL“, wielkość średnia, biurowa, pojedynczy wałek, w bardzo dobrym stanie, druk „Elite“, specjalne pudło do transportu, cena £34 10s. Zgłoszenia pod MASZYNA, Eden Hotel, St. Andrews (Scotland).

KAŻDY POLAK
który pragnąłby otrzymac NOWY TESTAMENT lub EWANGELJĘ św. JANA w języku polskim, zechce łaskawie zwrócić się do
p. S. K. HINE
110, Christchurch Road, London, S.W.2

LESLIE HOWARD [1]

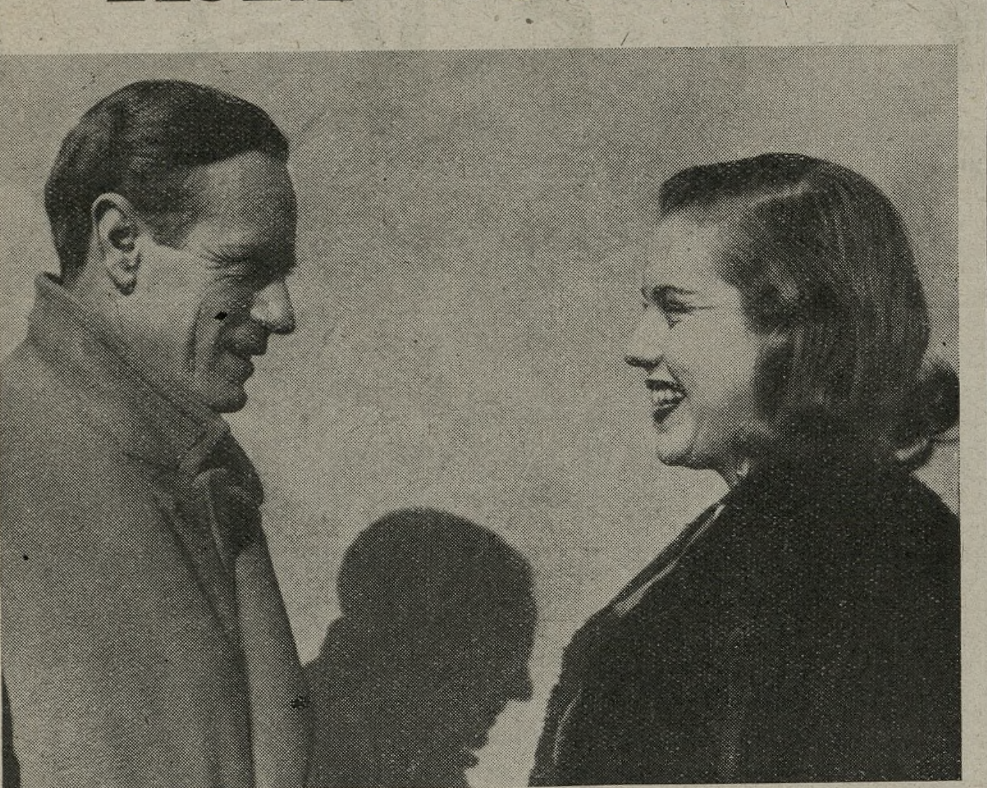

LESLIE HOWARD
z córką

fot. Keystone

Tak się złożyło, że Leslie Howard, który znajdował się w samolocie pasażerskim z Lizbony, zestrzelonym przez Niemców przed paru tygodniami, był czarującym człowiekiem — i z tego powodu większość, jeśli nie wszystkie z jego nekrologów błędnie określały go jako wielkiego aktora. Czyż mam po raz setny powtarzać to samo? Tak, zdaje mi się, że powinienem. Irving był zawsze Irvingiem, z tem wszakże ważnem zastrzeżeniem, że było co najmniej dwudziestu Irvingów i że każdy w nich był inny. Tak, Lesurques z „Lyońskiej poczty“ był zawsze Irvingiem, ale Irvingiem był także Dubosc, który tylko fizycznie przypominał Lesurques'a. To samo można powiedzieć o Jingle'u i Hamlecie, o Karolu I i Makbecie. „Niech pan da spokój Irvingowi, — woła zniecierpliwiony czytelnik, — lepiej pomówmy o Geraldzie du Maurier. Czyż nie był on zawsze sobą?“. Tak, niewątpliwie. Ale był sobą w ten sposób, że cokolwiek grał na scenie, dawał zawsze żywą, ulepszoną, *teatralną* edycję swego własnego „ja“. Leslie Howard próbował dać zawsze dyskretną, abstrakcyjną, nie-teatralną edycję swej osobowości. Miał on genjusz nie-hałaśliwości, nie-przejaskrawiania. W mojej pierwszej notatce o tym aktorze, z sierpnia 1926 r., gdy grał rolę gigolaka w sztuce lorda Latham „Jak kto co widzi“, pisałem, że Howard dokonał prawdziwego wyczynu, zmuszając audytorjum aby sympatyzowało z aktorem, grającym wybitnie niesympatyczną postać“. Ponownie wystąpił w sztuce „Jej tekturowy kochanek“ (1928) w którym znowuż gra rolę gigolaka. Jego kreacja w „Berkeley Square“, choć pełna wdzięku, oddawała tylko powierzchownie namiętności ukryte w tej sztuce. W r. 1933 wystąpił w roli Szekspira w sztuce „Bałwochwalstwo jednostronne“. Przeglądając moje ówczesne notatki, widzę, że pisałem, iż „Howard był dobrze ucharakteryzowany na Szekspia i świetnie robił minę wniebowziętego durnia, ale jeśli chodzi o grę, wszystko, na co się mógł zdobyć, ograniczało się do łagodnego bicia się w piersi z wyjaśnieniem, że tam się odbyła tragedja Hamleta“. Zakończyłem tę recenzję uwagą, że „jeśli ten Szekspir napisał „Antoniego i Kleopatrę“, wówczas trzeba wierzyć, że mysz może urodzić górę“. Nie widziałem go w roli Hamleta, ale pamiętam, że zamierzał on kiedyś zrobić film z tej sztuki. Dotąd mam wywiad, którego udzielił w owym czasie. Gdy go zapytano, dlaczego opuścił scenę na blankach, odparł: „Myślę, że dobrym pomysłem byłoby rozpocząć „Hamleta“ jaskrawą i nawet hałaśliwą sceną, a nie spokojnym akordem rozmowy wartowników — toteż zaczynamy od sceny drugiej, wewnątrz zamku“. W tymże wywiadzie powiedział, że zamierza opuścić zdanie: „Tu tu, mój ptaku!“, a także scenę, w której Hamlet odbiera od swych przyjaciół przysięgę, że dochowają tajemnicy, scenę z „kipiem w piwnicy“ („Ha, krecie!“), zdanie „Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie“ i t.d., a wreszcie aluzje do antycznego nastroju i zdanie: „Ukój się, ukój, rozdrażniony duchu“[2]). W zakończeniu tego wywiadu Howard oświadczył, że zamierza w tym samym czasie grać Hamleta i rolę nieśmiałego biednego prezbiterjańskiego pastora w scenarjuszu Jamesa Hiltona. Ale w każdej roli Leslie Howard był właśnie takim biednym, nieśmiałym pastorem — i te role grał zawsze doskonale. I był zawsze najbardziej typowym angielskim gentlemanem, takim który powoli myśli i odpowiada dopiero po namyśle, takim jakich można spotkać setki codziennie rano w kolei podziemnej i w autobusach. Jako aktor filmowy miał więcej uroku, niż jakikolwiek inny znany mi gwiazdor; widz wyczuwał, że książki, które, wraz ze swą nieodłączną fajką, Howard przeglądał, były fantazjami A. A. Milne'a. Czy jest to ostry sąd? Nie sądzę. Ale uważam ten sąd za prawdziwy. Leslie Howardowi zawdzięczam wiele chwil przyjemnych, ale ta przyjemność płynęła nie z patrzenia na doskonałą grę, lecz z rozkosznego poczucia kontaktu z sympatyczną osobistością i wrażliwym umysłem. Z angielskim umysłem. Wszystko w nim było angielskie — jego sposób bycia jego wygląd, jego rozmowa, jego fajka, sportowe spodnie i kurtka od golfa. Był on pochodzenia węgierskiego.

JAMES AGATE.

---

[1] Wspomnienie napisane specjalnie dla „Wiadomości Polskich“.

[2] Cytaty z „Hamleta“ w przekładzie Józefa Paszkowskiego.

ADOLF WIELKI

Marjan Hemar postawił sobie zadanie niełatwe w swoim essayu „Adolf Wielki“*). Napisano już całą bibljotekę o Hitlerze w różnych językach, z różnych punktów widzenia. Tyle się już ludzie naczytali głębszych i płytszych dociekań na temat psychologji żywego Hitlera i tej gromady ludzkiej, która go wydała na świat, tak im ten temat dokuczył, że z rozkoszą przeczytaliby coś o jego „post mortem examination“. Koniec końców, jest rzeczą nieważną, czy Hitler to skomplikowany warjat, czy fenomenalny gangster polityczny, czy jest prorokiem niemieckim, czy oszustem niemieckim, czy działa pod wpływem nieopanowanych impulsów, czy też sprytnie oblicza każde swoje posunięcie.

Synteza zbrodniczości Hitlera jest mniej ważna, niż to że miljony ludzi będą nosiły po nim protezy, a jego podświadomy, freudowski „Kriegschauplatz“ nie byłby wart ani jednej chwili zaprzątania uwagi naszej, gdyby nie to, że tak ściśle związane są z nim inne „Kriegschauplatze“, na których giną miljony ludzi. Sądzę, że autor przesadnie pomniejsza indywidualność Hitlera, twierdząc, że w całem tem zagadnieniu jest on tak ważny „jak wesz w niebezpieczeństwie tyfusu“, ale niewątpliwie spostrzeżenie to zawiera dużo prawdy.

Najważniejsze bowiem jest stwierdzenie, do jakiego stopnia Hitler, jako zarazek, stanowi typ reprezentacyjny Niemiec. Lord Vansittart uważa, że co najmniej na 70%. Optymiści skłonni są do obniżania tego procentu. Ale niema chyba już dzisiaj ludzi tak głupich, którzy widzieliby w Hitlerze „einmalige Erscheinung“. Bardzo polecam czytelnikom polskim essay Hemara. Znajdą oni w niem wiele pięknie wypowiedzianych myśli i inteligentnych sformułowań, trafiających w samo sedno rzeczy. Forma lekka, błyskotliwa, podejście poważne. Ta mała książka jest szczególnie pożyteczna, gdyż ujmuje zagadnienie szeroko, z jedynego właściwego punktu widzenia. Hitleryzm, to choroba bardzo zaraźliwa. Diagnozę jej ustalono. Z terapją będzie trudniej. Mówi się dużo o reedukacji Niemców. Oby nie była ona zwycięstwem nadziei nad doświadczeniem. Tak czy inaczej, potrzebna jest higjena antyhitlerowska, na którą autor słusznie kładzie nacisk. Iluż to było ludzi w Polsce przed wojną pełnych podziwu dla Hitlera i jego metod? Dzisiaj widzimy, jakim ponurym idjotyzmem była próba przeszczepiania na grunt polski jego nauk i łączenia stanowiska antyniemieckiego z prohitlerowskiem.

Świetne są sformułowania autora w końcowym rozdziale essayu, znane czytelnikom „Wiadomości Polskich“ z fragmentów książki, ogłoszonych w nr. 156.

fs.

---

*) *Marjan Hemar*. Adolf Wielki. Pamflet i dygresje. Londyn, M. I. Kolin, 1943; str. 4nl. i 49 i 1nl.

EUROPA ŚRODKOWO-WSCHODNIA

Książeczka niniejsza*) zawiera pięć odczytów, wygłoszonych w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie przez ministra skarbu Henryka Strasburgera. Odczyty te obejmują głównie zagadnienia, dotyczące ukształtowania stosunków powojennych w strefie środkowoeuropejskiej. Ogłoszenie drukiem nic im nie zaszkodziło, jak to się nieraz zdarza. Przeciwnie, czyta się je dobrze i zawarte w nich rozumowania rysują się jasno i przekonywająco. Strasburger omawia na szerokiem podłożu ekspozycji historycznej koncepcje niemieckiej „Grossraumpolitik,“ zagadnienie federacji środkowoeuropejskiej i zagadnienie bałtyckie, sprawę rekonstrukcji gospodarczej bezpośrednio po wojnie i wreszcie sprawę planowania w międzynarodowej wymianie gospodarczej po wojnie. Wszystkie te rozważania, nieraz bardzo skomplikowane, podane są w formie konkretnej i przystępnej, bez wulgaryzacji. Szczególnie dobre są rozdziały dotyczące federacji środkowoeuropejskiej i sprawy Bałtyku. Zaletą wszystkich tych odczytów jest stawianie sprawy polskiej na szerokiem tle zagadnienia europejskiego i wiązanie naszych postulatów politycznych z całością rekonstrukcji powojennej.

Nie omówiono wszakże dwóch kwestyj; zagadnienia rosyjskiego i zagadnienia światowej organizacji powojennej. Zagadnienie rosyjskie pominięto, być może dlatego, że wydawało się zbyt drażliwe. Ale pominięcie drugiej sprawy było niekoniecznie potrzebne. Nie trzeba wytwarzać u naszych wielkich sprzymierzonych przekonania, że tylko oni mają monopol myślenia o tych sprawach. Nie czynią tego Belgowie i nic na tem nie tracą. Przeciwnie, plany belgijskie, czasem bardzo konkretne, narzucają się, właśnie przez to, anglosaskim mężom stanu i wpływają w pewnym stopniu na tematykę ich prac. Ale, być może, pominięcie tej sprawy nie powinno być poczytane za winę samego autora. Rozważania jego dotyczą spraw, które w taki czy inny sposób przechodziły przez warsztat prac rządu polskiego. A tą sprawą rząd polski dotąd mało się interesuje.

ap.

---

*) The Case of a Continent. Problems of Central and Eastern Europe. By *Henryk Strasburger*, Ll.D., Minister of Finance of Poland. James-Pattern-Rowe Pamphlet Series No. 13. Filadelfja, The American Academy of Political and Social Science, 1943; str. 49 i 3nl.

POLAND AND RUSSIA *)

RUSSIAN-POLISH RELATIONS

(by Edith Moore)

. . . The explanation of the missing Polish officers remains also in abeyance. The concern of the Polish Government to ascertain whether there was any truth in the gruesome story of their murder, though this has come from Fascist sources, is neither surprising or unnatural. All other governments would have expressed a similar concern. This concern is all the more understandable since it is a fact that earlier enquiries made by Sikorski and other leading Polish officials months before Goebbels started his propaganda had remained unanswered. The suggestion of an immediate Red Cross enquiry into the case of the Katyn graves was in the circumstances an impossible suggestion as the Poles may have realised themselves now. It did not constitute, however, adequate grounds for the Soviet Government breaking off diplomatic relations with the Polish Government. The conflict which flared up on the question of the missing officers provided the occasion for Russia's action rather than the cause.

. . . .

. . . when Russia, in agreement with Hitler, took over parts of Poland, elections were held and People's Assemblies were created. The People's Assembly of the Western Ukraine met for the first time at Lemberg (Lwow) on October 26th, 1939, when unanimous resolutions were passed demanding the incorporation of the Western Ukraine into the Soviet Union, among other things. Similar resolutions were passed by the People's Assembly of Western White Russia which met at Bialystok on October 28th. The formal incorporation of Western Ukraine into the Soviet Union was decreed by the Supreme Soviet Council on November 1st, 1939, and of Western White Russia on November 2nd. (Elections on the same pattern were also held in the Baltic States).

Since only Communists and their associates were allowed to stand as candidates at those elections, held in the circumstances of recent military occupation, no one can accept the results of these elections as "the freely expressed wishes of the people concerned," nor as the basis for the international validity of any subsequent action.

. . . Russia has thus unilaterally solved the problem of the Polish-Russian frontiers, at least as regards the contentious points which the Polish Government originally raised.

It seems, however, that the clash of claims will not end there. The fate of the rest of Poland has still to be settled. The rumours that a new Polish Government is being set up in Moscow has been denied by a Russian Foreign Office official as a "pure invention." Yet the Council of People's Commissars has authorised the formation of a Union of Polish Patriots in Russia and granted that organisation powers to organise a Polish Military Division, whose prime task will be to liberate Western Poland from the Nazi scourge. According to an *Economist* report, at the Third Pan-Slav Conference, held in May, 1943, members of the Polish Union spoke on behalf of Poland and slanderously attacked non-communist Poles ("Death to the Traitors"). There is every indication that Russia is intent on moulding Polish life completely to her own wishes with no concern for Polish interests . . .

. . . .

It is not merely the fate of the Polish and Russian people that is at stake here. The breaking-off of diplomatic relations with Poland receives its most realistic interpretation as a move to put a stop to the various Federal schemes for both Eastern and Western Europe. That way to the future Russia wants to bar. Not because such plans do not go far enough in the direction of abandoning sovereignty and devising a European mechanism which will outlaw war; Russia's objections lie on a different level. She wants no combination of Powers in Eastern Europe which she regards as her preserve. Poland, Czechoslovakia, the Baltic States and the Balkans constitute the zone in which she wants a free hand. Her policy to date suggests that she is out to dominate them either by making them part of the U.S.S.R. or by relegating them to the status of satellites.

. . . .

The Tribune (April 30th) wrote in similar vein telling the Poles that their post-war choice was between a close alliance with Germany (which was "unthinkable") or with Russia. This method of solving problems by a mere submission to power, without any consideration as to *how* that power *ought* to be used, is not a socialist way.

As far as is possible to calculate, Russia will at the end of the war be in a position to set up a puppet Polish Government as well as other puppet regimes, if she reaches an understanding with Britain and America, to whom she would concede similar spheres of influence. This course would lead to disaster. The smaller States would once more be the strategically necessary buffer States ringed round the Big Powers, subject to arbitrary interference, and the first and main victims of war.

IN MEMORY OF SZMUL ZYGIELBOJM

(by Willi Eichler)

And furthermore, he strongly emphasised the necessity of choosing the means in the socialist struggle in accordance with moral principles, an attitude which, unfortunately is not universally current in socialist circles to-day.

In his own words: "The Bund has always been a revolutionary organisation. But we have always been opposed to any form of personal dictatorship and the degeneration of the ideal of the dictatorship of the proletariat. We are struggling to achieve the unification of the Labour movement, but, above all, we believe in the necessity for moral integrity in our international fight. We are convinced that the Machiavellian tactics of the Communists have done great harm to the Labour movement. For truth cannot be achieved by untruth, or justice by injustice."

His public protest against the murder of the two Jewish socialists, Alter and Ehrlich, was an example of his moral integrity and sense of international responsibility and socialist comradeship. This has become even clearer since we have had the opportunity of witnessing the cowardly reaction of the vast majority of the public to this deed, which some people went so far as to ignore completely.

Zygielbojm publicly defended his murdered friends. He refused to accept the great achievements of the Red Army as an excuse for the murder and slander of socialist leaders. But he kept strictly within the limits imposed by the common aim: the fight against Hitlerism.

---

*) Extracts from "Socialist Commentary" (June, 1943).

MISCELLANEA

„VANSITTARTYZM“ PARTJI PRACY

Po burzliwej dyskusji kongres Partji Pracy uchwalił rezolucję, w której stwierdza że jedynie drobna mniejszość Niemców jest w opozycji wobec Hitlera, że bez poparcia mas niemieckich Hitler nie mógłby utrzymać się przy władzy i prowadzić wojny totalnej, że Niemcy muszą być całkowicie rozbrojone, a duch napastniczego nacjonalizmu wykorzeniony i naród niemiecki wychowany nanowo.

W czasie dyskusji p. Evans, przedstawiciel związku robotników przemysłu stalowego, odrzucił koncepcję dwóch narodów niemieckich jako pozbawioną podstaw. Przedstawiciel związku pracowników samorządowych, p. Dukes, zapytał, czy ci Niemcy, którzy popierali Hitlera, staną się na zajutrz po zwycięstwie sprzymierzonych dobrymi demokratami. W jaki sposób mniejszość Niemców ma uzyskać władzę w kraju, bez poddania Rzeszy kontroli międzynarodowej?

W czasie głosowania rezolucja uzyskała większość 576 000 głosów.

Poważny odłam członków Partji Pracy, z grupą „Tribune“ naczele, oburza się na tę rezolucję i rozpoczął akcję celem jej obalenia.

Omawiając głosowanie, „Manchester Guardian“ z dn. 18 czerwca podkreśla, że brytyjskie związki zawodowe traktują z głębokim sceptyzmem teorję o „dobrych Niemcach“, czekających rzekomo na wyzwolenie. Nie oznacza to jednak, że podczas konferencji pokojowej brytyjski ruch robotniczy zapomni o swoich „pięknych tradycjach liberalizmu i tolerancji“. Uchwalenie rezolucji wskazuje natomiast, że ruch ten nie ulega wpływom „sentymentalizmu, któryby osłabił nasz wysiłek wojenny, zachęcił hitlerowców do prób zawarcia pokoju i zaniepokoił naszych sojuszników“.

HITLER I MASY NIEMIECKIE

„Tribune“ z dn. 4 czerwca zamieszcza list p. Lincoln Evansa, który uważa że atak Wellsa na Vansittarta (por. nr. 168 „Wiadomości Polskich“) spowodowany jest chyba podeszłym wiekiem znakomitego pisarza. Wells protestował np. przeciw twierdzeniu Vansittarta, że masy niemieckie wyniosły Hitlera do władzy, a przecież jest to fakt potwierdzony przez wyborców do Reichstagu. Evans przytacza te wyniki:

Data wyborów		Odsetek głosów na partję narodowo-socjalistyczną
Maj 1924 ..	..	6,5%
Grudzień 1924	..	2,98%
Maj 1928 ..	..	2,6%
Wrzesień 1930	..	18,3%
Lipiec 1932 ..	..	37,2%
Listopad 1932	..	33%
Marzec 1933	..	43,9%

Evans podkreśla że już w r. 1932 Hitler miał wśród Niemców więcej zwolenników niż Partja Pracy w Wielkiej Brytanji w okresie największego rozkwitu w r. 1929, gdy w wyborach do parlamentu padło na jej kandydatów tylko 29% głosów.

PRÓBA STWORZENIA ALIBI?

Alfred Joachim Fischer drukuje we „Free Europe“ z dn. 18 czerwca artykuł o „wzorowem ghetcie“ w Theresienstadt. Ghetto to mieści się w starem miasteczku fortecznem w Czechosłowacji, położonem na terytorjum wcielonem do Rzeszy. Niemcy zwieźli tam 40 000 Żydów, przeważnie w podeszłym wieku, i zorganizowali ghetto, w którem warunki życia są bez porównania lepsze aniżeli w innych skupiskach żydowskich pod władzą niemiecką. Niema tam atmosfery pogromów, niema egzekucyj, i chociaż panuje głód, stosunki są znośne, zwłaszcza że pomoc społeczną zorganizowali doświadczeni pracownicy społeczni — Żydzi.

To wyjątkowe ghetto powstało stosunkowo późno, i autor wyraża przypuszczenie, że Niemcy pragną w ten sposób zdobyć świadectwo „humanitaryzmu“. Wiedząc że zbliża się klęska, zorganizowali ghetto, którem będą starali się oszukać świat. Wkazując na Theresienstadt, będą twierdzili, że Żydom nie stała się żadna krzywda.

TRZECIA ROCZNICA PAMIĘTNEGO APELU

Minęła trzecia rocznica historycznego apelu gen. de Gaulle, który przemawiając przez radjo z Londynu dn. 18 czerwca 1940 r., wezwał Francuzów do wznowienia walki. „Marseillaise“ z dn. 13 czerwca przypomina prorocze słowa de Gaulle'a. Przywódca walczących Francuzów podkreślił wtedy, że klęska nie jest ostateczna, że po bitwie o Francję wojna przeobrazi się w wojnę światową i że sprzymierzeni odniosą zwycięstwo, osiągając przewagę techniczną nad nieprzyjacielem.

„France“ z dn. 19 czerwca poświęca tej rocznicy artykuł wstępny i przypomina jak trzy lata temu „w ciemnościach nocy, pełnej rozpaczy, rozległ się głos żołnierza, który nie uznał klęski za ostateczną“, głos odważny i jasnowidzący.

WZROST „TOLERANCJI“ W SOWIETACH

Według moskiewskiego korespondenta „Times“a (numer z dn. 22 czerwca), w Z.S.R.R. daje się zauważyć wzrost tolerancji. Na dowód korespondent przytacza następujące fakty.

1. Pewien starszy lekarz z pokolenia przedwojennej inteligencji z zagrożonej najazdem niemieckim miejscowości oświadczył, że w czasie okupacji pozostanie „aktywnie lojalny“ wobec Z.S.R.R. Urzędnik sowiecki z początku nie mógł zrozumieć takiego stanowiska obywatela nie będącego komunistą, ale wkońcu zrozumiał, że lekarz jest poprostu „patrjotą“.
2. W tramwaju moskiewskim pewna kobieta zarzucała innej, że chodzi do cerkwi. „A dlaczegóżby nie, jeżeli tak się jej podoba“ — usłyszała w odpowiedzi od licznych pasażerów.
3. Poeta Igor Siewierianin wrócił do Sowietów i zajął zaszczytne stanowisko.
4. Utwory Rachmaninowa spotykają się z gorącem przyjęciem.
5. Weterani wojen carskich idą do boju z carskim krzyżem św. Jerzego na piersiach.

ŚMIGŁY-RYDZ W POLSCE?

„Daily Telegraph“ z dn. 22 czerwca b.r. umieszcza depeszę swojego korespondenta algierskiego, według której marszałek Śmigły-Rydz, który dwa lata temu zniknął w niewiadomy sposób z Rumunji, znajduje się w Polsce i stoi na czele tajnej organizacji p.n. „Grzyb“. Organizacja ta ma się odznaczać śmiałem i doskonale zakonspirowanem kierownictwem.

WIECZNE PARADY

„Polish-Jewish Observer“ z dn. 18 czerwca zwraca uwagę na zlekceważenie przez „Dziennik Polski“ tak doniosłego wydarzenia, jakiem był tegoroczny kongres Partji Pracy. Tygodnik cytuje opinję brytyjskiego komentatora, który podkreśla że urzędowy dziennik umieszcza na ostatniej stronie przemówienia przywódców Partji Pracy, w przyszłości, być może, premjerów brytyjskich, podczas gdy na pierwszej ukazują się puste opisy parad.

„Dziennik Polski“ który pewnego dnia „spowodu braku miejsca“ nie umieścił komunikatów wojennych, istotnie nie ma czasu na zajmowanie się takiemi bagatelkami, jak kongres Partji Pracy. Szpalty „Dziennika Polskiego“ wypełniają przeważnie opisy ciągłych uroczystości wojskowych i cywilnych, pełne wyświechtanych banałów i frazesów przemówienia domorosłych mężów stanu, relacje z audiencyj bez znaczenia, adresy i telegramy. Także i na tym odcinku nuworysze z obecnego régime'u usiłują pobić wszystkie rekordy sanacji.

KORESPONDENCJA

DOKOŁA POST-SCRIPTUM B.B.C.

Do redaktora „Wiadomości Polskich“

Prosimy o umieszczenie na łamach „Wiadomości Polskich“ kopji listu naszego do B.B.C.

Mamy nadzieję, że list nasz odniesie pożądany skutek i że dana nam będzie możność wypowiedzenia uczuć, jakie mają prawdziwe Polki dla naszych gospodarzy.

To The British Broadcasting Co.,
London.

Sirs,

We have heard a broadcast on the Polish refugees, given by someone who cannot be considered as, by any means, representative of our real feelings, either towards the sufferings of our country, or towards those in Britain who received us with kindness and hospitality.

We hope that you will kindly give us an opportunity at the same time—that is, after the nine o'clock news on a Sunday—to explain to the British public how we really feel towards them.

We are a number of Polish women, representative of all parts of Poland selected by our Governments to attend an Allied Course for Social Workers in preparation for post-war reconstruction and rehabilitation.

We have been very much hurt by the broadcast as we feel deep gratitude to those who, both in England and Scotland, received us here with such kindness and we, who have lost many of those dearest to us—and are still losing them every day—cannot feel any tragedy in the temporary laying up of a car!

We hope that the impartiality for which we so admire the British, will lead you to grant our request.

We are, Sirs,
Yours faithfully,

Zofja Bobińska, Irena Bochwicowa, Blanka R. Calvert, Anna Cejtlinowa, Klementyna Dubanowiczówna, Marja Dubanowiczówna, Zofja Dubanowiczówna, Antonina Feldowa, Irena Godłowska, Halina Grytte, Róża Halberstadtówna, Marta Korwin, Dorit Kamil, Joan Kwiecińska, Józefa Lisiewiczowa, Marja Plutyńska, Elżbieta Rościszewska, Marja Wasserbergerowa, Elektra Wołkowińska, Anna Zahorska, Janina Zającowa, Janina Zarembina, Jadwiga Żołędziowska.

*

Celem mojego listu jest wyrażenie zgody z tem co pisała p. Joanna Aldridge w nr. 170 „Wiadomości Polskich“.

W mojem rodzinnem mieście „gdzieś w Szkocji“ od trzech lat spotykamy wielu wojskowych polskich. Spowodu ich wzorowego postępowania nie tylko nabraliśmy przekonania do nich, ale też nauczyliśmy się ich szanować w najwyższym stopniu. Od nich dowiedzieliśmy się wiele rzeczy o Polsce i ich rodzinach. Ubolewamy nad tymi, którzy cierpią pod batem germańskim.

Audycja radjowa wymienionej pani polskiej sprawiła sprawie polskiej szkodę — przynajmniej w mojem mieście. Spowodowała rozdrażnienie u szkockich przyjaciół Polaków.

Stosunki międzynarodowe, zwłaszcza podczas wojny, są zawsze dosyć ciężkie i surowe, potrzebujące dużo taktu i dobrej chęci z obu stron. Widocznie, jak wynika z pogadanki w radjo, pani polska nie posiada ani odrobiny sympatji do Wielkiej Brytanji i wątpię czy wogóle posiada jakieś uczucie.

Mam nadzieję, że w przyszłości będzie można znaleźć jakieś inne i sympatyczne panie polskie, które będą mówiły w imieniu polskich uciekinierów i będą godnie reprezentować kobietę polską na obczyźnie.

MARGARET HOGGAN.

*

To the Editor of "The Polish News"

I should like to assure the Polish readers of your newspaper that the view expressed by a correspondent ("The Polish News," No. 170) that the Sunday Postscript by "a Polish refugee" was "ill-advised and untimely" does not represent the feeling of the majority of English listeners. I have heard many comments by my countrymen, from various parts of England, and they have all been favourable.

The speaker paid us the compliment of treating us as friends and describing sincerely what she felt, and we realised that under similar circumstances we would have felt the same. I feel sure that an enquiry at Broadcasting House as to the kind of letters received from listeners would show this to be true. I would suggest also, that the wisdom and timeliness of the broadcast is a matter for which the B.B.C. is entirely responsible.

CHRISTINE C. DAY.

*

A. G. Og. in Perth. The Editor thanks A. G. Og. for her letter, but wishes to make it clear that the broadcast in question had no connection at all with the Polish Ministry of Information, or any Polish Government department, but was simply broadcast by the B.B.C. in their „Post Script“ Sunday feature.

...Kościuszce wolno było być idealistą, ale przeciwnie Napoleon z natury położenia musiał być realistą. Musiał on liczyć się nie z marzeniem, ale z rzeczywistością. Pierwszy generał Henryk Dąbrowski, organizując natychmiast szybko i energicznie powstanie i wojsko, stał się wyobrazicielem realnego kierunku, zmierzającego do wykorzystania rzeczywistych warunków chwili obecnej. Nie ma najmniejszego powodu, do jakiegokolwiekbądź krytykowania obydwóch, do porównawczego zestawienia Kościuszki i Dąbrowskiego w owej chwili, ani też do wyliczania na palcach, który z nich obu większą w owej chwili miał słuszność i zasługę. Tego rodzaju rachunek byłby oczywistą niedorzecznością. Każdy z nich robił, co był powinien: Kościuszko, zamykając się w odmowie, Dąbrowski, przystępując do czynu, każdy powodując się inną stroną potrzeb narodowych.

(„*Między Jeną a Tylżą*“, *Warszawa* 1902; *str.* 30–31)

MACIEJ LORET.

Kościuszko — prawdziwy wódz duchowy narodu, symbolizuje ideę jego: samoistność. Strzeże jej też z całą mocą, wobec zmiennych losów politycznych żąda jej ustalenia, wolnościowych urządzeń, gwarancji. Ale w warunkach politycznych, jakie zastał po powrocie z Ameryki i w jakich potem Napoleon go chciał pozyskać, jego żądanie gwarancji i form ustalonych oznaczało skazanie narodu na bierność. Na bierność w chwili, gdy historja rozstrzyga o losach ludów i państw. W bierności można trwać i zachować potęgę moralną, jako symbol idei, wyższej nad zmienne okoliczności czasu i miejsca — tą potęgą Kościuszko też na wieki pozostanie. Życie należy do sił czynnych, dynamicznych. Te wyobraża Dąbrowski.

(„*Dzieje polskiej myśli politycznej*“, *t.I*, *Kraków*; *str.* 19–20)

WILHELM FELDMAN

ODCZYTY ZBIGNIEWA GRABOWSKIEGO

Zbigniew Grabowski wygłosił w ostatnich czasach następujące odczyty: dn. 3 kwietnia w International Democratic Reform Club w Londynie o warunkach odbudowy demokracji w Europie (w dyskusji, pod przewodnictwem Grabowskiego, wzięli m.in. udział C. B. Burdon, członek parlamentu dr. Morgan, prof. Saurat, dr. Shahani (Indje): dn. 4 maja p.t. „Some Thoughts of Reconstruction“ w Loughton (otwierając serję odczytów, zorganizowanych przez League of Nations Union); dn. 18 t.m. w klubie londyńskim Victory League o zagadnieniu wielkich i małych narodów; dn. 20 t.m. w Rotary Club w Ashford na ten sam temat; dn. 10 czerwca w Taylorian Institute w Oxfordzie p.t. „Europe's Fears and Hopes“ (na zaproszenie Anglo-Polish Society i Polish Clubu); dn. 17 t.m. w Scottish-Polish Society w Glasgow o warunkach odbudowy Europy; dn. 18 t.m. na śniadaniu, zorganizowanem przez „Voice of Poland“ dla prasy Glasgowa, na temat wielkich i małych narodów; dn. 24 t.m. w Allied Circle w Hyde Park Hotelu w Londynie p.t. „Europe's Dilemma: the Great and Small Nations“.

ŚWIĘTO DYWIZJONU

Dn. 24 czerwca b.r. odbyło się święto krakowskiego dywizjonu myśliwskiego.

Zamiast obiadu żołnierskiego i lampki wina, żołnierze dywizjonu złożyli na Polski Czerwony Krzyż kwotę £70.0.0.

BIULETYN KOŁA DEMOKRATYCZNEGO

Ukazał się biuletyn Polskiego Koła Demokratycznego w Londynie p.t. „Warszawianka“. Na treść biuletynu składają się: słowo wstępne, artykuł Tytusa Filipowicza „Odpowiedzialność“, uwagi Aleksandra Junoszy-Gałeckiego „Koniec aktu trzeciego“, Ajota „Amnestja“, „Skróty“.

REJESTRACJA DZIENNIKARZY

Zarząd Związku Dziennikarzy (11, Gower St., W.C.1) prosi ponownie wszystkich członków o podanie zarządowi adresów członków Związku lub ich rodzin w Kraju i na uchodztwie, z zaznaczeniem stopnia pokrewieństwa, i miejsca pobytu głowy rodziny w wypadku, gdy znajduje się on poza Krajem. Zarząd prosi o podanie wszystkich znanych adresów, nawet w wypadku przeświadczenia, że mogą one być nieaktualne lub że zostały już zgłoszone do zarządu.

SPROSTOWANIE

Cytowana w nr. 170 „Wiadomości Polskich“ w artykule Stefana Łęczyca strofa Przysieckiego powinna brzmieć:

Bo twego kapelusza kryza połamana,
Zawadjacka brawura zdartego krawata,
Wskazują pobitego w życiu weterana,
Co błądzi jak banita wśród obcego świata.

W poprzednim numerze (172) „Wiadomości Polskich“ (6 ilustracyj): *Kazimierz Wierzyński*: Msza żałobna w katedrze nowojorskiej. — *Aleksander Janta*: O śmierci przyjaciela. — *Arkady Fiedler*: „Thank You, Cap'n, Thank You“... — *Jan Lechoń*: Wiersz mazowiecki. — *Zygmunt Nowakowski*: Ani przecinka! — *Marja Danilewiczowa*: Książka o Francji. — *Henryk Gotlib*: Wacław Wąsowicz. — *Florjan Sokołów*: Sztuka dr. Goebbelsa. — *Obserwator*: Tel-Aviv pod znakiem poezji polskiej. — *Marjan Hemar*: „New Posterity“. — Bez kawałów! — Wystawa architektury polskiej. — Miscellanea. — Korespondencja. — Na krawędzi ciemności. — O Tatrach. — „W Drodze“. — Ś. p. Eugenjusz Romer.

Restauracja **CHEZ AUGUSTE**
Kuchnia francuska
Kierownictwo francuskie
38, Old Compton St., W.1, tel. GER 2655
otwarta w niedziele

LONDON FLATS
37, Dorset Street (przy Baker Street), W.1
poleca
umeblowane oraz nieumeblowane
mieszkania i pokoje
tel.: WELbeck 3302

Autor artykułu o granicach strategicznych, nadesłanego do „Wiadomości Polskich“ (pseudonim Jan Gost), proszony jest o podanie swego adresu.

Redaktor: ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C. 2; Published every Tuesday at 229/231, High Holborn, London, W.C. 1.

SKARBNICA POLSKA

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

JANUSZ KORCZAK

O GRAMATYCE *)

Pan Jan ma lekcję z dziećmi na Solcu.

— Więc powiadacie, chłopcy, żeście się uczyli gramatyki? I powiadacie, że gramatyka jest trudna i niepotrzebna? Że wymyślili ją poto, żeby męczyć dzieci i dwójki stawiać?

„Otóż zaraz się przekonacie, że tak nie jest, że jest tu dużo bardzo ciekawych i ładnych rzeczy.

„Więc tak—zaczynam od samego początku.

„Weźmy zupełnie małe dziecko, które jeszcze nie mówi i dlatego nazywa się niemowlę. Takie niemowlę umie już odróżnić, co jest dla niego przyjemne, a co nieprzyjemne, i albo się uśmiecha, albo wrzeszczy i krzyczy, co w jego mowie oznacza : „A bodaj wam nosy popuchły za to, że o mnie nie myślicie“. (Śmiech). Takie niemowlę widzi wokoło siebie dużo rozmaitych rzeczy, słyszy, jak dorośli mówią, samo próbuje mówić : *aaa,ooo*, — nazywamy, że ono gaworzy, — wreszcie, proszę was, powie : *mama*. Powie raz : *mama* — i drugi raz : *mama* — i okropnie się cieszy, że taką mądrą rzecz powiedziało. (Śmiech). Widzi, że i wszyscy się cieszą — i wtedy wszystko co się rusza — będzie dla niego : *mama*. — I kot, i mama, i tata, i brat, i ptak. Bo mały rak widzi tylko to co się rusza, chodzi, wydaje dźwięki. Taki mały, który nie wie, co się z nim dzieje, nazywa swojem *mama* wszystkie rzeczy — rzeczowniki żyjące. Z rzeczowników nieżyjących mały człowieczek najprędzej nauczy się mówić : *papu* — jedzenie. Boć przecież jedzenie, to nie byle co. I wy pewno wolicie jeść niż się uczyć?

— E nie, proszę pana.

— Więc dalej. Taki knot już wie, co to jest mama. Ale ot co się dzieje : raz mama daje mu jeść, śpiewa, kołysze, pokazuje ładne błyszczące rzeczy, a drugi raz krzyknie, klapnie w tyłek, da do picia paskudne lekarstwo, albo zostawi mokre, a sama gotuje albo pierze. I taki bąk widzi, że ta sama mama jest rozmaita. A znowu słyszy, że dorośli raz mówią na niego : *cacy*, to znowu : *be*. — I niemowlę myśli, myśli, myśli, aż sobie namyśli, że ta sama mama raz jest — cacy, a drugi raz — be. *Cacy* dla niego będzie znaczyło : jaki? — dobry, jaki? — ciepły, jaki? — smaczny, jaki? — śmieszny. A *be* będzie dla niego : jaki? — zły, jaki? — zimny. — Patrzcie, co on już za mądry człowiek — pi, pi ! — on zna dwa przymiotniki. Niedługo trzeba mu będzie mówić : „Szanowny panie“. (Śmiech).

„Nie śmiejcie się : trzeba wam wiedzieć, że dla takiego malca mówienie, to taka sama trudna sztuka, jak dla was dzielenie przez dwie cyfry. Co on się musi biedaczysko namęczyć, zanim zrozumie, co trzeba zrobić wargami i językiem, zanim się powie literę.

„Spróbujcie powiedzieć *m*, nie zamykając ust. — A co? aha. — Albo : *be* — A widzicie : nie udaje się. — Najłatwiej powiedzieć : *aaa*. Otwierasz szeroko gębę — i basta. Trudniejsze są litery, gdzie trzeba wywijać językiem, np. : *de*, *te*. Tu trzeba końcem języka dotknąć zębów. — A co trzeba zrobić, żeby powiedzieć : *ef ?*...

„Ślicznie. — Jeszcze trudniej powiedzieć : *er* i *sza* — i jak wiecie, dzieci długo mówią : *plose*, zamiast : *proszę*.

„Wy teraz już o tych trudnych rzeczach wcale nie myślicie, bo już umiecie. — Przypatrzcie się tylko, jak malec guzik zapina : to dziurki nie może złapać, to mu guzik uciekł, to znowu nie chce wejść do dziurki. — Nie śmiejcie się : i z wami było tak samo, i tak jest ze wszystkiem na świecie : najmądrzejsze rzeczy są łatwe, jak się umie ; dziś trudne ci dodawanie, a jutro już będzie łatwe ; dziś dzielenie trudne, a jutro będzie łatwe.

„A teraz dalej.

„Pomówimy sobie o języku, ale nie o tym czerwonym co go macie w ustach, tylko o mowie ludzkiej. — Zdziwicie się bardzo, gdy się dowiecie, że język ludzki, czyli mowa ludzka, żyje, karmi się, choruje, robi rozmaite interesy — może być bardzo biedna albo bogata.

„Więc, proszę was, różni mądrzy podróżnicy jeździli do dalekich krajów i zauważyli, że są dzicy ludzie, którzy mają w mowie bardzo mało wyrazów, że ich język jest bardzo biedny. Ma ten biedny język trochę rzeczowników, bo przecież trzeba jakoś nazywać swoje stołki, garnki i inne rzeczy, ma tam jakąś kupkę przymiotników, bo jedne stołki są duże, a drugie małe, jedne garnki — jakie? — czyste, a drugie — jakie? — brudne — ma tam trochę jeszcze tego i owego — i już koniec. — Taki to sam biedny język, jak naszych małych dzieci.

„A im mądrzejszy jest jakiś naród, im więcej wie i więcej umie, tem więcej ma rozmaitych wyrazów — i z każdym rokiem rodzą mu się nowe wyrazy, jak wam rodzą się bracia i siostry.

„A może mi tak powiecie, jaki się wyraz niedawno urodził? — A no : *samochód*. Ktoś wymyślił brykę, która jeździ bez konia ; trzeba to było jakoś nazwać — i nazwali : *samochód*. To samo, dopóki Gutenberg nie wymyślił druku, nie było wyrazów : *druk*, *czcionki*, *zecer*, *książka*.

„Ale nie myślcie, że tylko rzeczowniki się rodzą. Nie : i przymiotniki także i inne części mowy. — Są np. w języku polskim dwa wyrazy : *lubić* i *kochać*. Kocha się Boga, ojca, matkę, a lubi się kolegę, psa, wodę z sokiem. Byłoby lepiej, żeby dla wody z sokiem był inny wyraz, niż dla kolegi — i pewnie on się kiedyś urodzi : wymyślą go ludzie — może nawet który z was wymyśli — co? — A weźcie teraz język rosyjski : tam jest tylko jedno — *lubit'* — i mówi się : *lublu atca* i *lublu prjanik*. — A teraz inny przykład : wiecie, co to jest ciekawość? Ciekawość, to zaglądać do cudzych garnków — i mówi się, że taka ciekawość prowadzi do piekła. Ale jest i inna ciekawość : co się dzieje na świecie, skąd powstają różne choroby, co było za dawnych czasów, o czem mówią książki — i taka ciekawość, to pierwszy stopień do rozumu, do wiedzy, do doskonałości. I patrzcie : i dobra, i zła nazywają się jednakowo — ciekawość. — I tu znowu rosyjski język jest bogatszy, bo ma dwa wyrazy : *lubopytstwo* i *luboznatielnost'*. — Może za dwa lata, a może za dwadzieścia język polski urodzi nowy wyraz dla dobrej ciekawości — i będzie wszystko w porządku.

„Wiecie, że są wyrazy : *zamożny* i *bogaty*. *Zamożny*, to taki, który ma, czego mu potrzeba, a *bogaty* ma więcej, niż mu potrzeba, i nie wie, co z pieniędzmi robić — najczęściej głupstwa robi. — Tak samo *ubogi*, to taki, który ma mniej, niż potrzeba : *biedny* już ma znacznie mniej, niż potrzeba : ani się leczyć nie może, jak należy, ani dzieci dobrze uczyć, ani często zjeść tyle, ile potrzeba, aby być silnym i zdrowym. A nędzarz nic nie ma. — Widzicie co za bogactwo wyrazów.

„I jeszcze jeden przykład : *rozumny*, *wykształcony* i *inteligentny*. — Czyście pomyśleli kiedy, że można być wykształconym a głupcem przytem? — Wykształcony, to często taki, którego rodzice mieli pieniądze, posyłali do szkół i drogo płacili za naukę — potem skończył na jakiegoś doktora albo adwokata — i wstydzi się krewniaka dlatego że ten jest biedny, albo nie tyle w książkach siedział. — Jest to sobie może i wykształcony, ale cóż kiedy głupiec? — A rozumny może wcale czytać nie umieć, ale zawsze sam postępuje, jak należy, i innym da rozumną radę. — I powiedzcie, coby to było, żeby istniał jeden tylko wyraz : *wykształcony ?* — Wtedy często musielibyśmy nazywać mądrym głupca, dlatego tylko że jego rodzice mieli pieniądze na szkoły.

„I jeszcze mało było tych dwóch wyrazów, bo sobie język polski pożyczył od łaciny wyraz : *inteligentny*. — A tak. — Jeżeli język sam sobie narazie nowego wyrazu wymyśleć nie potrafi, to go sobie pożycza tymczasem. Każdy język ma dużo takich pożyczonych wyrazów. — Mówicie : „amator kwaśnych jabłek“, a *amator*, to łaciński wyraz. — *Adie* pożyczone od Francuzów, a *kucharz* — od Niemców.

„Kto pożycza, ten powinien oddawać — i język oddaje pożyczone wyrazy. Weźcie sobie, panowie Francuzi, z powrotem swój wyraz : *kontent*, bo my już mamy swój wyraz — no, jaki? — a — *zadowolony*. — Weźcie sobie, panowie Niemcy, swoje : *spacerować*, *bryftregier*, *banhof*, bo my mamy : *przechadzka*, *listonosz*, *dworzec*. — A już sensu niema mówić : *powiestka z sądu*, bo jest *wezwanie*.

„Widzicie więc, że rodzą się w języku nowe wyrazy, że rośnie, pożycza i oddaje, kiedy sobie na własny wyraz zapracuje — że jest coraz bogatszy, że coraz łatwiej nim ludziom myśleć i mówić...

„Zdziwicie się jeszcze bardziej, kiedy wam powiem, że niektóre wyrazy w nim umierają. Wyobraźcie sobie, że mówicie do kolegów : „Azali zagracie z nami w palanta?“. „Zaiste, zagramy“ — odpowiadają koledzy.

„Widzicie : sami się śmiejecie. — *Azali*, *zaiste* — są to wyrazy stare, zgrzybiałe, do codziennej mowy wcale niezdatne. Są one siwe i poważne, i usłyszeć je dzisiaj możecie tylko w kościele. — Takich wyrazów, które już zupełnie umarły albo umierają, jest bardzo wiele.

„Ciekawe jest bardzo, co język robi, żeby z jednego wyrazu zrobić kupę rozmaitych wyrazów. Wymyślił mądrala odmiany. Z jednego wyrazu : *książka*, zrobił : *książki*, *książce*, *książkę*, *książką*, *książkom*, *książkami*, *książkach*. Z jednego : *czytać* — zrobił : *czytam*, *czytasz*, *czyta*, *czytamy*, *czytacie*, *czytają*, *czytałem*, *czytaj*, *czytajcie* i wiele innych. I jeszcze nie koniec : dodaje sobie *prze*, takiego małego prztyka — i to już znaczy co innego. — *Czytałem*, to jeszcze nie znaczy, że wiem, co było na końcu, a *przeczytałem*, to znaczy — do końca. — Myślicie, że koniec? Nie. — Jest wyraz : *czytanie* i znowu : *czytania*, *czytaniem* i t.d. — *czytający*, *czytająca*, — Aż się w głowie kręci od tego wszystkiego. — Będziemy sobie o tych wszystkich cudach mówili pokolei.

„I teraz, proszę ja was, przychodzi człowiek — i powiada : trzeba, do licha starego, zrobić jakiś porządek, bo tak to my nic nie wiemy, co się tu dzieje.

„I wyobraźcie sobie tylko sklepik : śledzie leżą razem z papierosami, węgle do samowara z masłem, nafta z chlebem, karmelki z mydłem. — Przychodzisz po kajet za sześć groszy. Zaczyna się szukanie. Sklepikarz mówi, że kajety są tu, a żona mówi, że tam. On krzyczy na nią, a ona na niego — wylewają na głowy balon z naftą, sypie im się na nosy mąka, karmelki wypadają do słoja z kwaszonemi ogórkami. — Nie wiedzą, co mają, czego im brak, co trzeba dokupić — nic nie wiedzą.

„A ludzie, naród — muszą przecież wiedzieć, jakie mają wyrazy, co im potrzebne, co trzeba pożyczyć, albo można już oddać — żeby każdy mógł swoim językiem myśleć i mówić.

„Im coś jest ważniejsze dla nas, w tem większym porządku i poszanowaniu trzymamy. Im coś jest droższe, tem pilniej strzeżemy. — Widzicie, jaki porządek jest w aptekach : każde lekarstwo w osobnym słoiku z napisem.

„To samo postanowili zrobić ludzie ze swoją mową. Trzeba wszystkie wyrazy podzielić na gatunki, każdy gatunek pomieścić w innej szufladzie i zaopatrzyć w napis. — Jak wam się zdaje : łatwa to czy trudna praca? — Strasznie trudna. — Ale ludzie nie boją się żadnej pracy. — Wymyślili telefon i telegraf, wymyślili maszynę parową i mikroskop — takie cuda, że jak wam o tem opowiadać będę, aż oddychać przestaniecie ze zdziwienia.

„Więc nasamprzód ludzie ustawili tak jakby szereg szuflad i zaczęli gatunkować wyrazy. Na jednej stronie napisali : kto, co? rzeczownik — i kładli : *matka*, *stół*, *serce*, *Józio*, *uczeń*, *słońce*, *Wisła*, *dzwonek*, *miłość*, *rzeka*, *zapałka*. W drugiej szufladzie : jaki? przymiotnik — i t.d. — A potem zobaczyli, że Wisła i rzeka, to niby jedno, a jak powiem : rzeka, nikt nie wie, jaka, bo rzek jest dużo na świecie. — Słyszeliście o rzeczownikach własnych?

„Pomyślcie, co za śliczny wynalazek te rzeczowniki własne : piszę na kopercie : *Stanisław Marczak, Solec nr... Warszawa* — i koniec. — A jakbym zaadresował list, żeby ich nie było? — Wielmożny ten pan z czarnemi wąsami, co to ma dwóch chłopców i dziewczynkę, co to jeden jest wielki łobuz, ale dobrze się uczy — na tej ulicy, co jest niedaleko rzeki — takiej długiej — w tem mieście dużem, co leży na lewym brzegu szerokiej rzeki. — I takbym mógł napisać sto stronic tego adresu, a potem toby szukali dwa lata i oddali list zupełnie komu innemu, bo miast takich i rzek, i ulic, i panów z wąsami jest okropnie dużo na świecie.

„Widzicie, co to są rzeczowniki własne...

„I tak, proszę was, uczeni ludzie powsypywali do każdej szuflady co innego, potem przyglądali się, co podobne, i ustawiali te szuflady obok siebie. Tak zupełnie jak np. w sklepiku jest jedna półka z papierosami, a na tej półce dopiero : Polakiewicza, Azis, Zagłoba, Tureckie i t.d.

„Powiem wam o jednym maleńkim wyrazie a takim mądrym, że aż wierzyć się nie chce. Taki mały wyraz : *kto*.

„Stukają do drzwi, ty się pytasz : „Kto stuka?“. A gdyby nie było tego malca : *kto* — musiałbyś pytać : „Czy stuka Kazio, czy Mańka, czy Szczepan, czy ciotka, czy druciarz, czy kum Piotr, czy żebrak?“. A tamten odpowiadałby ciągle : „Nie, nie, nie“. I mógbyś tak trzy godziny pytać i nie zgadłbyś wcale. Spociłbyś się, jak mysz — wyzłościł — nie jadł — nie spał — tylko pytał ciągle. A tak : „*kto* tam“ — i w tem króciutkiem *kto* — siedzą imiona wszystkich ludzi na całym świecie. *Kto* jest zaimek...

„Jak wam mówiłem, są w gramatyce części mowy, które się odmieniają : są to bogaci panowie, mogą z jednego wyrazu zrobić dużo wyrazów. A taki pożyteczny a biedny przysłówek, przyimek, nie mają odmian. Jest sobie wyraz : *zawsze*, *przy*, *od* — i taki już zostanie na całe życie ; ale zobaczycie, że ten : *przy* albo *od* jest pożytecznym pracownikiem i pomocnikiem innych części mowy, które go szanują i słuchają go. — Bo mówi się : *do ogrodu*, ale *w ogrodzie*. — Zobaczycie dalej, jak bogaty przymiotnik pomaga i pożycza swoje wyrazy przysłówkowi : z *dobry* przysłówek robi sobie wyraz *dobrze* — i t.d. — Zobaczycie dzięki gramatyce, jakie cuda kryją się w mowie ludzkiej.

„Mowa ludzka, proszę was, to jak stary tajemniczy wielki bór, pełen życia, pełen śpiewów głośnych i wesołych — i strasznych, nieznanych szeptów, pełen wesela i smutku, młodości i śmierci. Są w mowie ludzkiej wyrazy mocne i wielkie, jak dęby, które do niebios się wznoszą : *męstwo*, *bohater* ; — wyrazy wesołe, jak : *słońce*, *pieśń* — wyrazy ponure, jak : *ucisk*, *podłość* ; — wyrazy które dzwonią jak skowronek w błękitach wiosennego poranku, lub syczą jak żmija jadowita, lub skarżą się jak jęk.

„Patrzcie, jakie to ogromnie ciekawe : niektóre wyrazy, samem brzmieniem swem naśladują to co wyrażają, np. : *ryk*, *grzmot*, *świst*, *syk*, *huk*. Stare są to wyrazy, zapewne tak samo pierwsze dla narodu, jak pierwsze dla dziecka : *hamm* — pies, albo *muu* — krowa. — Pomówimy jeszcze o tem wszystkiem.

„Wiem, dzieci, że nie lubicie w gramatyce wyjątków. Wiecie chłopcy : nie powinniśmy się gniewać na wyjątki, bo one dowodzą, że mowa ludzka żyje i pragnie być wolna, że nie chce dać się ludziom spętać, ujarzmić. — Można poukładać w szufladzie pierniki albo papierosy, i będą tam leżały aż do końca świata — ale mowa ludzka żyje, rośnie — wyrywa się do wolności — i stąd są owe wyjątki w gramatyce, na które wy się gniewacie. „Ale poco nam gramatyka?“ — zapytacie może. Bo bez gramatyki nie można dobrze mówić, ani tem bardziej dobrze pisać. „A dlaczego trzeba bez błędów mówić albo pisać, kiedy i tak mnie rozumieją?“. Bo błąd w mowie, to jak plama tłusta i brzydka na fotografji matki, którą kochasz, to jak niestarannie przyszyta łata na ubraniu, w którem idziesz w gościnę. Źle mówić lub pisać, to znaczy krzywdzić swoją mową tych wszystkich, którzy ją budowali. Język smuci się, choruje — gdy ludzie źle nim mówią. — Pamiętacie, jakem się rozgniewał, gdy któryś z was po raz trzeci powiedział : „Kajet po arytmetyce“. Zdawało mi się wtedy, że ktoś drzazgę lub igłę wsadził za paznokieć żywemu człowiekowi, któremu z bólu łzy napłynęły do oczu. Gramatyka uczy szanować mowę ludzką i — podziwiać rozum ludzki...

„Jeszcze tylko wam dodam, że są ludzie, którzy mówią i piszą gramatycznie i ładnie nawet, ale nieuczciwie i głupio, a są, którzy nie znają gramatyki, do szkoły nie chodzili, bo szkoły pieniądze kosztują, a oni byli biedni i pieniędzy nie mieli — a warci są stokroć więcej od tych, którzy się w szkołach uczyli...

„A teraz bywajcie zdrowi — do jutra.

JANUSZ KORCZAK.

---

*) Z „Dziecka salonu“.

MARJA KONOPNICKA

MODRACZEK I JEGO UCZEŃ *)

1

Ale Półpanek znieść nie mógł powodzenia mistrza Sarabandy. Jak był zielony zawsze, tak jeszcze w dwójnasób zzieleniał teraz z zazdrości.

— Jakto ! — mówił. — Jakiś przybłęda, jakiś świerszcz wędrowny będzie się popisywał w krainie, w której wszystkie oklaski mnie się należą z prawa?! Odkądże to wolno pierwszemu lepszemu włóczędze tumanić słuchaczy i jakiemś tam skwierczeniem psuć im gust do mojej muzyki? To jest wprost oburzające !

— Panie ! — rzecze nagle, zwróciwszy się do słuchającego tych wyrzekań Modraczka. — Zmiłuj się, wydobądź mi koniecznie te nuty, z których Sarabanda grał, a zobaczysz, że go prześcignę, że go zakasuję ! Tej samej pieśni tak się wyuczę, że dopiero pozna świat, co to jakiś marny Sarabanda, a co Półpanek. Zmiłuj się, kochany panie ! Dopomóż mi w tem, proszę !

Skoczył Modraczek, który niezmiernie uczynny był, za odchodzącym z czarodziejską skrzypką świerszczem, i uchwyciwszy go za połę brunatnego płaszcza, zaczął błagać o nuty tej przecudnej pieśni, której echa drżały jeszcze naokół w polnych ziołach i zroszonych trawach

— Mamy u siebie bardzo zdolną żabę, — mówił Modraczek — i pragnęlibyśmy uczynić z niej nadwornego muzyka Jego Królewskiej Mości, miłościwego naszego. Król Jegomość, w podeszłych już latach będąc, podlega różnym tęsknotom i smutkóm, a taki wyborny muzyk rozrywałby go w onej melancholji.

— Owszem, bardzo chętnie użyczę ! — odrzekł Sarabanda. — Oto nuty owe, proszę, bardzo proszę... Wszakże nie cała pieśń w tych nutach jest. Resztę, czego tam brak, z duszy śpiewać trzeba. O, nie sprawia to żadnej trudności ! Dosyć jest spojrzeć na łunę zachodniej zorzy, dość poczuć zapach pól i łąk, dość zasłuchać się w ten wielki chór, jaki cisza polna gra... Łatwo, bardzo łatwo ! Oto nuty. Proszę, proszę bardzo... Bardzo mi przyjemnie. Sługa uniżony.

I odszedł wielki muzyk szybkim krokiem, zostawiwszy Modraczka z nutami w ręku i ze zdumieniem w sercu, iż ten mistrz nad mistrze tak prosty był, tak uczynny, a przytem taki nieśmiały, niewymowny, taki niezgrabny nawet.

— No ! — pomyślał sobie — Półpanek rację ma ! Jeśli z tego szaraczka taki sławny muzyk jest, to cóż dopiero będzie z naszego Półpanka, którego przecież i wzrost i osoba i cała prezencja wcale co innego !

I wracał prędko z nutami do Słowiczej doliny, gdzie go oczekiwał Półpanek.

Maj się już kończył, i gorąco było na świecie, kiedy nasz zielony grajek rozpoczął koncerty. Obrał sobie miejsce w cieniu jednego grzyba, nad samym brzegiem strugi, i tu, siedząc jak pod parasolem, ćwiczył się codzień w śpiewaniu. Że jednak zawsze takt gubił, musiał mu zgrzany od srogiego upału i ociekający potem Modraczek wybijać go pałeczką wyłamaną z trzciny.

Co to był przy takiej lekcji za wrzask, jaki skrzek, jakie fałszywe, dzikie tony, tego opisać niesposób !

Żaba darła się jak opętana, Modraczek walił swoją trzciną tak jakby ze trzy baby u strugi kijami prały, a żuki, muchy, komary, wróble nawet, wszystko to uciekało z piskiem, z brzękiem, z trzepotem, żeby tylko jak najdalej uszy unieść od tego nieszczęsnego grzyba, pod którym Półpanek śpiewał.

Ale nie wszystko uciec mogło. Tuż przy samym brzegu strugi mieszkały lilje wodne, którym nie wolno było opuszczać swego chłodnego, błękitnego domu. Nie mogąc tedy żadną miarą usunąć się od owego wrzasku, wychylały swoje białe kielichy, prosząc na wszystko choć o chwileczkę spokoju, choć o odrobinę ciszy.

— Przepraszamy najmocniej panów dobrodziejów ! — mówiły słodkim i uprzejmym głosem. — Ale od czasu jak panowie dobrodzieje poświęcają się muzyce, żyjemy tu w ciągłej trwodze, w ciągłym niepokoju, ot, jakby we młynie. Nie chcemy panom dobrodziejom najmniejszej przykrości wyrządzić, ale niepodobna się nam ani rankiem modlić do wschodzącej jutrzenki, ani słyszeć, jak konwalje na wieczorny pacierz dzwonią w tamtym gaju. Zupełnie się u nas wszelki porządek pomieszał... Panowie dobrodzieje zapewne wiedzą, że tkamy w krosnach nici srebrne na zasłony dla nowicjuszek, zamkniętych w zieleni pączków ; otóż nawet nici w krosnach pękają nam od tego nieznośnego hałasu, jaki się panom dobrodziejom podoba tu przed samą furtą naszą czynić ! Próbowałyśmy już nawet głębiej w wodę iść, aby tam nieco zażyć ciszy i spokoju ; ale bez słońca niesposób nam żyć. Niechaj więc prośba nasza panów dobrodziejów nie uraża ! My uznajemy tak wielki talent pana w zielonym garniturze, jako też i siłę, bardzo wielką siłę, pana w garniturze niebieskim ! Ale tak, jak jest, niesposób nam wytrzymać ! Nerwy nasze zbyt cierpią na tem.

Tu dygnęły, jakby kto świeczkę maczał, i ukryły się skromnie pod wielkie okrągłe liście, które im za woale służą.

Ale trzciny i tataraki nie były tak uprzejme. Te odrazu zaczęły w pałki swoje tłuc i w miecze długie trzaskać.

— Któż to tak tam wrzeszczy? — wołały — jakby go ze skóry darto? A nie będziesz ty cicho, krzykaczu? Czy nie widzisz, że nas tu całe wojsko stoi, a takiego piekielnego rejwachu nie robi, jak wy jeden z drugim ! A pałką go ! A nuż szablą po nim !

„Hej, pachołki ! zaszumieć tam w złote szałamaje ! Niech pozna wrzaskun ten, co to jest prawdziwa muzyka ! Hej, grajcie litaury, grajcie surmy nasze !...

I giął się oczeret z szerokim, głośnym poświstem, szumiały trzciny, brząkały tataraki w szerokie szablice, a wiatr, wpadłszy między nie, dziwną muzykę na złotych szałamajach czyniąc, taką pogróżkę śpiewał :

...Hej, milczkiem, a chyłkiem,
A ciszkiem, a cisz...
W zasadzce tu stoim,
A hasło czy wiesz ?
W zasadzce tu stoim,
Wzniesiony nasz miecz,
Kto idzie ? Daj hasło ?
A nie wiesz — to precz !

Dziwna ta, podobna do cygańskiej, muzyka, zrazu cicha, potem rosnąca w moc i potężniejsza coraz, chwilę trzęsła jak grzmot oczeretem, potem znów cichnąc i milknąc, rozwiewała się, jakby jej nie było.

Ale opętany zazdrością i pychą Półpanek nie zważał ani na groźby buńczucznych trzcin i tataraków, ani na pokorne prośby białych lilij wodnych. Owszem, im głośniejsze były i groźby i prośby, tem on zapalczywiej krzyczał, aby je zagłuszyć, tak że mu się gardło wydęło jak najtęższy pęcherz.

— Dla Boga ! — zawołał przerażony Modraczek — folguj waćpan nieco w tym śpiewie, bo mi się tu jeszcze w oczach rozpukniesz !

Ledwie to rzekł...krrach ! skóra, napięta jak na bębnie, trzasła, a Półpanek, jak stał, tak padł, raz tylko zipnąwszy.

2

Południe było znojne, gorące. Kosiarze dosiekali łąki. Długi ich rząd posuwał się równo, równo wyciągały się grzbiety i ramiona w lnianych, błyszczących w słońcu koszulach, równo szły jasne kosy w trawę tuż przy ziemi ! Na miedzy pod gruszą stały już dwojaki gliniane, złocąc się ziemniakami i bielejąc mlekiem. Dzieci, które je z chat przyniosły, bawiły się w „zgadanego“, usiadłszy kupką całą na górce, w modrych spódniczynach, w czerwonych spencerkach, właśnie jak ostróżki i maczki.

Wtem patrzą, a tu spod gaju toczy się człeczek maluśki i prosto do dwojaków idzie.

Krężołek to był, paź Króla Jegomości Błyska, który dla zbytniej swej tuszy upału ścierpieć nie mogąc, wziął łyżkę i miskę i szedł do kosiarzy, żeby tam kwaśnego mleka pojeść i nieco się orzeźwić.

Struchlały dzieci, patrzą, a ów sobie do pierwszych z brzegu dwojaków sięga, złotą łyżeczką mleka nabiera, na złotą miseczkę kładzie. Już pełno miał prawie i właśnie po wrębach podśmietanie zgarniał, kiedy wtem buchnął w powietrze przejmujący krzyk wielu cienkich głosików :

— Nasz muzykant nie żyje !

Posłyszał krzyk ten Krężołek, łyżkę i miskę upuścił w trawę i jak stał, tak się pędem do gaju biec puścił. Teraz dopiero zobaczyły dzieci jego czerwony kaptur, jak za nim z tyłu wiewał.

— Krasnoludek ! Krasnoludek ! — wrzasnęły wszystkie razem i jak wróble spłoszone porwały się, do wsi z krzykiem lecąc, podczas gdy złote naczyńka owe, które Krężołek w trawę cisnął, potoczyły się w krzak głogu i tam zostały.

Straszne było pomieszanie w Słowiczej dolinie, kiedy do niej dopadł Krężołek. Kto żyw, ratował Półpanka i ducha w nim szukał. Jedni go trzęśli, drudzy tarli, insi z boku na bok przewracali, jeszcze insi wronie piórka pod nosem mu smalili, a Pietrzyk, biegając z kubełkiem, z góry wodą chlustał i chorego i ratujących razem.

Ale wszystko było na nic : Półpanek leżał bez czucia, bez duszy. Oczy mu zbielały, obwisły łapy, trup a trup ! Tylko w ziemię kłaść.

Szła wtedy gajem stara babuleńka i zbierała zioła. Babuleńka była tak sucha, jak gałązka chróstu, tak ciemna w twarzy, jak ten grzybek pod pieńkiem rosnący, a tak zgarbiona odwieczną starością swoją, że głowy podnieść od ziemi nie mogła. Idąc, stukała babuleńka kijem, który jej niemocne nogi podpierał, a co ziółko jakie spotkała, to zaraz zagadała do niego suchym, cichym głosem !

— Ty rosiczko, rosiczko ! — mówiła — tysiąc listeczków w tobie, na każdym listeczku rosy kropelka, w każdej kropelce przejrzało się słoneczko jasne, moc tobie dało, moc dużą ! Dobraś ty od oczu bolenia, dobra dla młodych i starych, chodź do kobiałki !

I zrywała babuleńka przygarść ziela świeżego i cicho szepcząc, szła dalej.

Wtem znowu zagada :

— Oj, ty ziele, ty ziele zielone, ty rozchodniku, młody junaku ! Z góry na doliny, z doliny na górki ty chodzisz, po szarych piaskach brodzisz, nie pilnujesz dróżki, bo masz złote nóżki. Patrzysz, czy jedzie król — dobryś na suchy ból — pójdź do kobiałki !

I znów zrywa przygarść ziela i idzie, szepcząc :

— Oj, ty macierzanko, ty ziele ! Mocny dech w tobie — dobraś w chorobie, na smutki, żałości, na bolenie kości — pójdź do kobiałki !

Chwilę rwała w ciszy pachnące listeczki, poczem się w bok ujęła, rozprostowała nieco krzyża i patrząc w gaj modremi oczami zaczęła nucić :

...Słyszała matka ten płacz sierocy,
Wyjrzała z grobu tej ciemnej nocy.
Wyjrzała z grobu drobniuchnem zielem,
A tu macocha jedzie w weselem.
Z weselem jedzie, z biczów trzaskają,
A te sieroty łzy połykają,
A te sieroty łzy połykają !

Rozległ się cichy, słaby głos i umilkł w gaju, a babuleńka znów się zgarbiła i westchnąwszy, powlokła się dalej. Aż nagle stanęła, wywijając kijkiem.

— Ej, ty dziewanno, ty jasna panno ! Za słonkiem się obracasz, liczko gładkie wyzłacasz — jest z ciebie napój złoty — od kaszlu, od chrzypoty ! — pójdź do kobiałki !

Narwała kwiatuszków z wysokiej łodyżki, odpędzając pszczoły, co gęsto brzęczały nad nią, i poszła, szepcząc dalej. Ale wnet stanęła znowu :

— Ty, piołunie, gorzkie ziele, narwę ja cię mało wiele ! Bez gorzkości człek nie żyje, kto niemocny, niech cię pije ! — pójdź do kobiałki !

Ale ten piołun i ta dziewanna wywiodły ją z gaju aż na uroczysko, na sam skraj łąki, którą dosiekali kosiarze, na miedzę, gdzie krzaki głogu rosły, tuż przy polnej gruszy.

Babuleńka podeszła do krzaków, szepcząc :

— O, ty głogu, ty głogu, kląść cię dobrze na progu ! Gdzie u progu są głogi, tam nie przyjdą złe trwogi ! — pójdź do kobiałki !

Postała chwilę, popatrzyła, już odejść miała, kiedy trafiła kijkiem na korzonek, wystający z ziemi. Zamodrzały jej oczy, twarz zajaśniała nagle : schyliła się babuleńka i prędko ów korzonek kopać zaczęła, szepcząc :

— Ty, pokrzyku z ludzką twarzą, w czarnym garnku ciebie warzą. Warzą ciebie po ciemności, na zrośnięcie martwej kości ! — pójdź do kobiałki !

Ciągnie babuleńka ów korzonek do siebie, a ziemia do siebie.

Wtem uderzy w powietrze krzyk słaby...

— Co takiego? — szepnie babuleńka. — Czyby pokrzyk krzyczał, że go biorę?

Puściła ów korzonek, słucha : głosy ludzkie jakby... Ruszy babuleńka sporym krokiem, sztykuta jak może, kijkiem się podpierając a dysząc. Coraz bliżej głosy owe słychać. Wychyliła się wreszcie z uroczyska tuż nad strugą samą. Spojrzy : tłum Krasnoludków otacza leżącą bez ducha żabę, ręce załamuje płacze, lamentuje :

— Muzykant nasz ! Muzykant nasz nie żyje !...

Babuleńka ani się dziwi, ani się przeraża. Cały wiek z dziwami przeżyła zapanbrat. A cóż jej dziw jaki?

Krasnoludków też widziała w długiem swem życiu nie raz, nie dwa razy. Co jej krasnoludki?... Więc tylko zamruga modremi oczami, podejdzie bliżej i pyta :

— A co Pan Bóg dał?

Aż do niej zakrzykną Krasnoludki :

— Ach, muzykantowi oto naszemu gardziel pękł ! Ratujcie, babuleńko, muzykanta naszego !

Pokiwała babuleńka głową, ruszyła jedną łapę żaby, ruszyła drugą, trup ! Aż przyłoży ucho swoje stare do martwej piersi i słucha.

Słucha i uśmiechnie się nagle... Cośniecoś życia kołatało się jeszcze w niebogim Półpanku. Podniesie tedy babuleńka głowę i rzecze !

— Skoczże który za trzy góry, za trzy morza — na bezdroża — na sam koniec świata, tam gdzie moja chata — przynieśże mi duchem złotą igłę z uchem, przynieś i jedwabie — pomożem tej żabie !

Skoczył Pietrzyk na jednej nodze do chatynki Skrobka i dalej do jaskółki z prośbą :

Jaskółeczko ! Jaskółeczko !
Weź mnie na swe siodełeczko,
Nieś mnie swemi pióry
Za morza, za góry,
Na sam koniec świata,
Gdzie babulki chata.
Muszę przynieść duchem
Złotą igłę z uchem
I jasne jedwabie,
Żeby pomóc żabie.

Zaświegotała jaskółeczka, chętna do posługi.

Skoczył na nią Pietrzyk — frrru !... I tyleś go widział ! Ot, jakby wiatr dmuchnął.

Tymczasem babuleńka ogień pali, gałązki nakrzyż kładzie, zioła warzy i gardło Półpanka smaruje. Posługują jej Krasnoludki, jak mogą, ten chrust nosi, ten mieszkiem ogień rozdyma, ten garnczek trzyma, sam król miłościwy głowę Półpanka unosi, a co na niego spojrzy, to mu perły jasne z oczu na ziemię lecą.

Nie minęły trzy pacierze, zaszumiały nad doliną jaskółcze skrzydła rącze, skoczył z nich Pietrzyk lekko, jaskółce dziękując, babuleńce złotą igłę i jedwabną niteczkę podaje.

Wyjęła babuleńka okulary, na nos włożyła, igiełkę nawlokła i nuż owo gardło nieszczęsnej żabie zeszywać. Obstąpiły ją Krasnoludki, powyciągały nosy, patrzy jeden drugiemu przez głowę, a babuleńka pękniętą skórę Półpankowi zeszywszy, dziegla mu pod nos przyłoży i trzy razy dmuchnie.

Jakże owa żaba nie kichnie ! Jakby z armaty strzelił !

Rozskoczyły się Krasnoludki z nagłego strachu ; a tu Półpanek otworzył jedno oko, przymknął, otworzył drugie, patrzy i podnosić się zaczyna. Podniósł się, siadł, za nutami się obejrzał i chwyciwszy je w łapy, rozdziawił do śpiewu gębę.

Rozdziawił, lecz nie puścił głosu ; rozdziawił szerzej jeszcze — na nic ! Rozdziawił po raz trzeci — głuchy skrzek wyszedł tylko z gardła.

O, nieszczęsny Półpanku, nigdy ty nie dorównasz mistrzowi Sarabandzie w wielkiej jego pieśni.

MARJA KONOPNICKA.

---

*) Fragment powieści „O krasnoludkach i sierotce Marysi“.

JULJAN TUWIM

Zosia - Samosia

Jest taka jedna Zosia,
Nazwano ją Zosia-Samosia,
Bo wszystko :
„Sama ! sama ! sama !“.
Ważna mi dama !
Wszystko sama lepiej wie,
Wszystko sama robić chce,
Dla niej szkoła, książka, mama
Nic nie znaczą — wszystko sama !
Zjadła wszystkie rozumy,
Więc co jej po rozumie ?
Uczyć się nie chce — bo poco,
Gdy sama wszystko umie ?
A jak zapytać Zosi :
— Ile jest dwa i dwa ?
— Osiem !
— A kto to był Kopernik ?
— Król !
— A co nam Śląsk daje ?
— Sól !
— A gdzie leży Kraków ?
— Nad Wartą !
— A uczyć się warto ?
— Nie warto !
Bo ja sama wszystko wiem
I śniadanie sama zjem,
I samochód sama zrobię,
Ja z wszystkiem poradzę sobie !
Ktoby się tam uczył, pytał,
Dowiadywał się i czytał,
Ktoby sobie głowę łamał,
Kiedy mogę sama, sama !
— Toś ty taka mądra dama ?
A kto głupi jest ?
— Ja, sama !

JULJAN TUWIM.